

MERKVRYVSZ POLSKI ORDYNARYJNY

Dzieie wszytkiego świata w sobie zam
mykaiący dla informacyey popolitey

Założony w roku 1661

GAZETA TYGODNIOWA

**BLAGA
W SZTUCE**



FRANCISZEK MAURIAC

który firmuje akcję antypolską

Dzieje wszytkiego świata

21-go maja, w przeddzień wyborów gminnych w Czechosłowacji przeszła nad Europą prawdziwa burza elektryczna, z błyskawicami i grzmotami, lecz bez ulewy i bez piorunów. Koncentracja wojsk niemieckich, mobilizacja czeska, gwałtowna akcja interwencyjna Anglii, mowa Benesa w Taborze husyckim o walce „do ostatniej kropli krwi“, i.. happy end: wycofanie się Niemiec z agresywnego stanowiska.

Co to właściwie było? Prasa woła: parażka Niemiec. Istotnie, wygląda na to. Po raz pierwszy zawiodła wypróbowana metoda zaskoczenia i zastraszenia. Europa nie dała się zastraszyć, nie dał się zastraszyć nawet „dzielny wojak Szwejk“, o którego odwadze świat ma dość niepochebne wyobrażenie.

Co to właściwie było? „Brat“ Benesz trzasnął pięścią w stół i Niemcom zmięła rura? Hitler dał się ponieść nastrojom upojenia po łatwym zwycięstwie nad Austrią? Zagalopował się czy też przeliczył się w swych rachubach?

NIE GROZIŁA WOJNA

Kiedyś może historia rozwiąże tę zagadkę. Najprostsze wytłumaczenie brzmiałoby tak: Hitler nie wyczekał aż dojrzeje konjunktura, i w niecierpliwości swego impetu stworzył sobie konjunkturę sztuczną. Mussolini, przez mowę genueską i przerwanie rokowań z Francją, miał zaognić sprawę hiszpańską, skupiając na niej uwagę mocarstw zachodnich, a tymczasem Hitler miał się załatwić z Czechosłowacją. Ale sztuczna konjunktura nie zastąpi nigdy prawdziwej. Anglja nie dała się nabici w butlę.

Hitler dał jednak tyle dowodów znajomości psychologii i trafności instynktu, że trudno nam uwierzyć w to tłumaczenie. Prawda, stanowczość i determinacja Londynu zaskoczyła w pewnej mierze Berlin. W pojedynku dyplomacji niemieckiej z angielską narazie górą jest ta druga. Nie było tu jednak omyłki Hitlera w wyborze momentu rozstrzygającego. *Hitler nie chciał bynajmniej wkroczyć zbrojnie do Czech, w dn. 22 maja.* Porażkę jego spowodowało qui pro quo, którego nie przewidział. Aranżerem ostatnich wypadków była psychoza strachu. Bo strach ma wielkie oczy. Czesi zlekli się, Anglja zlekła się również, cała Europa przeżyła paroksyzm trwogi i dostrzegła atak niemiecki tam gdzie go nie było. A w strachu śmiertelnym rodzi się zazwyczaj „odwaga rozpaczy“. Stąd wojowniczy gest Czechosłowacji i stąd energia Francji i Anglii.

W dn. 22 maja świat nie został uratowany od wojny światowej, bo w dniu tym wcale nie miała wybuchnąć wojna światowa.

SPRYTNA INTRYGA?

Jest jeszcze jedno wytłumaczenie, bardziej skomplikowane, lecz całkiem prawdopodobne. Powtórzę tu argumentację mego znajomego, który postawił tę śmiałą hipotezę: Hitler został wciągnięty w pułapkę. Nie miał on zamiaru atakować w tych dniach Czechosłowacji. Może nawet nie było tej masowej koncentracji wojsk niemieckich. To Londyn, wspólnie z Beneszem, ukartował intrygę. Rozmyślnie podniesiono krzyk, że Niemcy atakują, wiedząc, że nie są oni do ataku przygotowani. Czechosłowacja zmobilizowała się, Anglja zagroziła wyjazdem swego przedstawiciela z Berlina. Wytworzono w ten sposób

sztucznie wrażenie, że Niemcy chcieli wywołać wojnę lecz ugięli się pod presją. Świat cały widzi teraz wroga pokoju w Niemczech, a jego obrońców w Anglii, Francji i Czechosłowacji. I cały świat jest przekonany, że Niemcy dali się zastraszyć, a więc najlepiej stosować wobec nich argument siły.

Jeżeli ta hipoteza jest słuszna, to masoni 33-go stopnia (jak wiadomo jednym z nich jest Benesz) są djabelnymi spryciarzami. Dla Niemców bowiem, a dla Hitlera w pierwszym rzędzie, to rozwianie legendy o niezwykłości jest śmiertelnym niebezpieczeństwem.

TERAZ DOPIERO NIEBEZPIECZNIE!...

„Sieg heil!“ to symboliczne powitanie hitlerowskie, kryje w sobie całą duszę współczesnych Niemców. Niemcy muszą zwyciężać, kompleks ambicji i dumy rasowej został w nich rozbujany do ostatecznych granic. Przegrana a nawet niewielka porażka może mieć fatalne następstwa dla Hitlera, o którym powiedział wszak Goering publicznie, że jest on „cudownym dziełem Boga“ i że „kule go się nie imają“. Także i poza granicami Niemców przewyciężenie psychozy strachu może zatamować dalsze postępy Hitlera. Chyba, że wynajdzie on jakąś inną metodę, zamiast metody wymuszania przez zastraszanie.

CZESI GRAJĄ VA BANQUE

Teraz dopiero pokój jest zagrożony. Nie wiadomo bowiem czy nerwy Hitlera wytrzymają ten moment próby. Może on dojść do przekonania, że lepsze jest ryzyko natychmiastowej wojny, niż rozwianie legendy, która jemu i Niemcom daje potężne szanse historyczne.

Jedno jest pewne w tem wszystkim: Czesi, mając do wyboru utratę niepodległości lub ryzyko wojny będą woleli rozpuścić pożogę światową. Nie mają bowiem i tak nic do stracenia, a w wypadku wojny istnieją szanse powtórzenia się r. 1918, t. j. zgniecenia Niemców. Odnosi się to zwłaszcza do klikki masońskiej rządzącej Czechosłowacją. Nie odda ona władzy bez walki, zagra raczej *va banque*, stawiając na solidarność wolnomularską Francji i Anglii, i na strach Europy przed hegemonją niemiecką.

Obecnie pozycja masonerii czeskiej została wzmocniona. Przekreśla to możliwość bliskiego otrzeźwienia Czech i porozumienia ich z Polską. Czesi liczyć będą wciąż jeszcze na Londyn, Paryż i Moskwę, zostawiając sobie Warszawę na później. Sytuacja nie dojrzała więc jeszcze. Poczekamy. Przyjdzie kolej i na nas. W poprzednim numerze sformułowaliśmy warunki, na jakich Polska powinna unormować w przyszłości swe stosunki z Czechami. Warunki te nie tracą aktualności ani jutro ani później.

Br.

ROZŁAMY, ROZŁAMY

Partje socjalistyczne we Francji i w Belgji rozlatują się na drobne kawałki. Waśń młodych ze starymi, a pozatem, według modnego dziś wyrażenia, odbywa się infiltracja haseł nacjonalistycznych.

Francuska partja socjalistyczna (S. F. I. O.) rozpadła się na dwa odłamy, które przypuszczalnie trudno będzie skleić. Starym przewodzi nadal Leon Blum, a młodym Marceau - Pivert. Ostateczne pożegnanie, o ile nie dojdzie do zgody, nastąpi w Royan, podczas walnego kongresu. Starzy

mają kasę partyjną, mają organ partyjny „Populaire“, mają poparcie rządu. A młodzi mają zapal.

W samym Paryżu rozłamowcy są liczniejsi. Z różnych ośrodków przemysłowych nadchodzą wiadomości sprzeczne. To też nie dowiemy się, jak sprawy stoją, przed zakończeniem obrad kongresu w Royan. Zanotujmy fakt, że w partji Bluma jest rozłam.

TO SAMO W BELGJI

Również i w Belgji młodzi socjaliści wymawiają posłuszeństwo starym. Premierem został towarzysz Paweł Spaak, jeden z „młodych“, już po czterdziestce. Żwawy ten jegomość zdążył podeptać stare obyczaje narzucone przez dyscyplinę partyjną.

Dotychczas bywało tak, że kiedy król zapraszał socjalistę do rządu, to o wszystkim decydowała partja. Tym razem Spaak, po rozmowie z królem, wcale nie przyjechał do „Maison du Peuple“, nie zameldował się u Emila Vandervelde, lecz zasiadł do telefonu i w ciągu godziny wydzwonił wszystkich ministrów. Czegoś podobnego nigdy jeszcze nie było. To też stary Emil Vandervelde zawrzał gniewem i oświadczył wobec przedstawicieli prasy, że Spaak okazał się zdrajcą stronnictwa.

ZEMSTA SPAAKA

Nie licząc się wcale z tą oceną, Spaak sformował rząd i czuje się doskonale w gmachu przy ulicy de la Loi. Jednym z pierwszych jego posunięć było uznanie podboju Abisynji oraz nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Burgos. A w gazetach ukazały się notatki o strasznym gniewie kierownika II Międzynarodówki. La grande colère de Vandervelde...

Przez kilka dni zastanawiały się

gazety brukselskie, jak też zareaguje Spaak na obelgę, jak odpowie Vanderveldemu? Mistrz nazwał ucznia zdrajcą, to nie fraszka. Różnica lat nie pozwalała na pojedynek, zresztą w socjalistycznym świadku to nie uchodzi. Sąd? Niewielka z tego satysfakcja. Po tygodniu zaczęto szeptać, że Spaak wymyślił „un sale coup“, krzepkie uderzenie. I nagle bomba wybuchła.

Spaak zlikwidował jednym machnięciem pióra ministerjum zdrowia publicznego. A trzeba wiedzieć, że ministerjum to założył Vandervelde dla swej żony. Pani Emilowa była tam od kilkunastu lat nominalnie sekretarką, a w rzeczywistości wszystkim trzęsła. Zresztą, trzeba przyznać, że była na właściwym miejscu, gdyż z wykształcenia jest doktorem medycyny.

Tak to wychowanek zemścił się, a reformę upozorował koniecznością okrojenia budżetu. Rozgoryczony Vandervelde oczernił go za to w „Dépêche de Toulouse“, organie lewicowej burżuazji francuskiej.

„REX“

Zakotłowało się w belgijskiej partji robotniczej. Prasa rexistowska twierdzi, iż Spaak zmierza wprost do dyktatury, że chce wprowadzić totalizm państwowy. Ma podobno zamiar unieszkodliwić „starych“, następnie wypowie wojnę rexistom.

Podobno wojna już się zaczęła. Czy taliśmy w „Pays Réel“ gorzkie skargi na postępowanie policji. Dziennik ten pisze, że Spaak obstawił Degrelle'a tajnymi agentami. Wywiadowcy wciskają się na wiece i wywołują burdy, utrudniając kolportaż gazet, depczą rexistom po piętach.

A na jednym z wieców w welodromie Degrelle zawołał: „Zwróćcie u-

wagę na Spaaka. Wszak to plagjator! Skradł nasze hasła i oparł na nich swój program“.

Chaos i pomieszanie pojęć. Socjalista Spaak ma zapędy dyktatorskie, jego szef Emil Vandervelde poprzestaje na inkasowaniu komornego w swych domach czynszowych, a Degrelle, który przed dwoma laty omal nie został premierem, jest teraz trojony przez policję.

SETNA PIERWSZA

Nie wiadomo dlaczego, ale setna pierwsza sesja w Genewie natchnęła dziennikarzy zagranicznych do rozmyślań nad posadkami w Lidze Narodów. Przypomniano sobie, że sekretarz generalny tej instytucji dostaje rocznie 150 tysięcy franków szwajcarskich i 50 tysięcy na koszty reprezentacyjne. Dyrektor biura Pracy (oczywiście socjalista) otrzymuje 80 tysięcy franków szwajcarskich, czterej podsekretarze po 40 do 50 tysięcy tychże franków helweckich. Szef biura prasowego — 33 tysiące. Zwyczajny redaktor komunikatów 23 tysiące. Panna pisząca na maszynie — 4 do 6 tysięcy. Ogrodnik — 5 tysięcy. Gонец - rowerzysta dostaje 3 tysiące i napiwki. Wszystko w tym stosunku.

Nie wyobrażajmy więc sobie, że Liga Narodów zechce się dobrowolnie rozwiązać. Chyba, że nastąpi kryzys i wpłaty przestaną napływać. A państw, zadłużonych w Genewie jest sporo. Prócz tego, od czasu do czasu, ktoś się z tamtąd wynosi.

CODREANU

Całe szczęście, że wolno w Polsce krytykować wyroki sądów rumuńskich.

Przywódcę Żelaznej Gwardji, Kor-

neljusza Codreanu skazano na 10 lat więzienia. Za co? To nie żarty. Za zdradę, za usiłowanie wywołania przewrotu, za stosunki z obcym mocarstwem, za tworzenie zbrojnych oddziałów i tak dalej.

Trochę jest w tem prawdy, ale sporo musiała dorobić utalentowana policja rumuńska. Ot, załatwiono porachunek z dość niebezpiecznym przeciwnikiem.

Za Codreanu nie ujmie się żadna Liga Obrony Praw Człowieka.

Co innego Ossietzky, który ogłaszał w prasie zagranicznej tajemnice Reichswehry. Za Ossietzky'm ujęły się wszystkie stowarzyszenia humanitarne, wszystkie demokracje i wszystkie gazety lewicowe.

SUPER - OSZUSTWO

Największem oszustwem XX wieku była i jest słynna Umowa Pittsburska, podpisana przez Czechów i Słowaków w roku 1918 w Pittsburgu. Widnieją na niej autografy twórców Republiki Czechosłowackiej, między innymi Tomasz Masaryka.

Umowę, która przyznawała Słowaczynie pełną autonomję, podpisano w niedzielę. Otóż w Pittsburgu jest taki obyczaj, że wszelkie umowy zawarte w dni świąteczne są nieważne.

ADŁUGOĘCKI, W. WRZEŚNIEWSKI

WARSZ. TOW. HANDLU HERBATA



Jeśli znawcą nie lubięm
pij herbatę z Kopernikiem



SPÓŁKA AKCYJNA WARSZAWA

ALEJE JEROZOLIMSKIE 119

Wiedzieli o tem czesi, a nie wiedzieli słowacy. I kiedy sprawa autonomji stała się aktualna, czescy mężowie stanu oświadczyli, że Umowa Pittsburska ich nie obowiązuje.

Przed tygodniem wysłannicy słowaków amerykańskich zawitali do Gdyni, skąd przez Warszawę udali się do Pragi czeskiej. Słowacy przywiezli oryginał umowy, by żądać jej wykonania.

STRAŻ OCHRONNA

Na spotkanie gości przybyła ze Słowaczyny do Polski dość liczna delegacja słowaków, zwolenników ks. Hlinki. Chodziło o to, aby zaopiekować się rodakami ze Stanów Zjednoczonych oraz, aby ów cenny dokument nie zaginął. Albowiem w pociągach pośpiesznych dzieją się czasem dziwy.

Jednocześnie, dla osłabienia akcji hlinkowców, rząd czeski przysłał do Warszawy inną delegację słowaków, współpracujących z Pragą. Byli to starannie dobrani renegaci.

Wytworzyła się więc taka sytuacja, że tego samego dnia zjawiły się w Warszawie dwie odrębne delegacje: pierwsza, by bronić Umowy Pittsburskiej przed niespodziankami, a druga... Lepiej unikajmy domysłów.

Pierwszą delegację powitało nasze MSZ, co jest zrozumiałe. Drugiej nie powitało, co też jest zrozumiałe.

W skład drugiej delegacji wchodził panowie, którzy w roku 1920 sprzeciwiali się dostawie amunicji do Polski.

ZWOLNA, ALE PEWNIE

Wcale się nie śpieszy generał Franco. Codziennie zajmuje jakąś górę, przyczółek mostowy, albo miasto, albo miasteczko. Na zajętych terenach organizuje sprawną administrację. Idzie naprzód, zwozi żywność, doprowadza do możliwego porządku to, co czerwoni zniszczyli, i znów zajmuje dalsze okolice.

Metoda powolna, ale pewna. Tymczasem w Barcelonie głód, terror i bezhołowie. A co się dzieje w Madrycie, dokładnie nikt nie wie, gdyż niema z tem miastem połączenia.

Z.

Blaga w sztuce

Głośny oddźwięk, jaki wywołały uwagi kol. Z. o wystawie drzeworytów w Dyrekcji Lasów Państwowych najlepiej świadczy, jak żywotne jest w Polsce zagadnienie sztuki i jak bardzo, wbrew opinii krytyków i recenzentów, interesuje się tem zagadnieniem szeroki ogół.

Bowiem krytycy i recenzenci narzekają na ospałość, bezwład, obojętność powszechną w stosunku do literatury, plastyki, sceny. Mówi się o kryzysie książki, kryzysie teatru, wyzruca się ludziom, że nie kupują obrazów. Tymczasem, jak powiadam: szczerze i śmiało uwagi o drzeworycie wywołują stopy pochwalnych listów z najdalszych krańców Rzeczypospolitej (w tym zeszycie zamieszczamy głos Czytelnika z Inflant). Tymczasem subskrypcje ulgowe na



drzeworyty zawsze wykazują popyt na pracę dobre. Gdzieindziej więc musi leżeć przyczyna kryzysu artystycznego. Nie obojętność społeczeństwa odbiorców sztuki jest tą przyczyną poprostu dlatego, że tej obojętności niema, że konstantuje się coś wręcz przeciwnego: najżywsze zainteresowanie.

KRYZYS SZTUKI

Czyż więc przyczyny tej szukać należy po stronie artystów? Tak jest. Wszystko wskazuje na to, że twórcy artystyczni winni są kryzysu, jaki przeżywają. Pisarze i plastycy nie dają ludziom tego, co mogłoby zaspokoić ich potrzeby estetyczne. Obrazy, jakie malują, sztychy, jakie rytują, książki, jakie piszą — to wszystko idzie po innej linii, niż linja zamikowań artystycznych ogółu. Twórczość artystyczna rozmija się z konsumcją artystyczną.

I na tem właściwie możnaby skończyć kwestję kryzysu w sztuce. Jeśli bowiem „konsumcja“ jest jednym z warunków rozwoju sztuki, tedy trzeba wytworzyć taki stan rzeczy, który będzie jej sprzyjał. Jeśli, co więcej, istnieje powszechne zainteresowanie, a nie znajduje obiektów — tedy jedno z dwojga: albo obiektów niema, albo objekty są nieinteresujące. Stwierdziliśmy, że tak jest. A więc, niech nam dadzą interesujące objekty, a zniknie kryzys w sztuce.

KTO MA RACJĘ

Sprawa jest jasna: malujcie tak, jak chcemy — my, oglądacze obrazków; piszcie powieści takie, jakie się podobają nam, czytelnikom książek.

Ale zjawia się tu pytanie, napoły tylko akademickie, kto ma rację? Czy artyści dają nam prawdziwą sztukę, a my się na niej nie znamy, czy też artyści coś tu poszkapili? Warto rozstrzygnąć to pytanie przy okazji.

Lecz naprzód, czy pytanie to wogóle może być rozstrzygnięte? Czy istnieje jakiś obiektywny, żeby nie powiedzieć absolutny, sprawdzian sztuki? Czy można ustalić obiektywnie, co jest sztuką złą, a co dobrą?

Rozważmy tę trudność.

De gustibus non est disputandum, powiada przysłowie rzymskie. Europejczykowi podoba się Chopin, mu rzynowi z Kentucky jazz - band, a polinezyjce rumba.

W Warszawie nawet są geograficzne szerokości sztuki. W dzielnicach południowych ludzie czytają Sienkiewicza i Prusa, w północnych p. Bruno Schultza i Zegadłowicza. Czyż tedy można mówić o obiektywności w sztuce?

Można. Z faktu bowiem, iż p. Bruno Schultz znajduje pewne quantum miłośników nie wynika jeszcze, iż dzieło jego spełnia warunki, wymagane od dzieła sztuki. Należałoby jeszcze stwierdzić, czy miłośnicy ci mają kwalifikacje do oceny estetycznej. Ale, czy to wogóle byłaby droga właściwa: ustalać wartość sztuki, wychodząc nie od dzieła, lecz jego „odbiorców“?

DWIE DROGI

Oczywiście i tą drogą możnaby dojść do prawdy. Praktycznie biorąc, byłaby to nawet droga krótsza. Teoretycznie byłaby dłuższa, gdyż wymagałaby ustalenia szeregu okoliczności pobocznych. Ale w praktyce jest to metoda niezła: analizować dzieła, które się podobają i ustalać

go stosunku uczuciowego do piękna w rzeczywistości. Określenie to jest prawdziwe, jako wynik rozumowania, w którym niema błędu. Jest dostatecznie ścisłe, nic bowiem innego, prócz dzieła sztuki nie da się w tem określeniu zawrzeć. Jest także dostatecznie szerokie, obejmuje bowiem wszystkie dzieła sztuki, zarówno obraz, jak powieść, zarówno symfonię, jak kreację sceniczną, zarówno film, jak słuchowisko radiowe. ¹⁾

SZTUKA PRAWDZIWA

I ta właśnie definicja, czyli poprostu głębsze wejrzenie w sedno rzeczy, odrazu daje nam odpowiedź, na pytanie, czy istnieje obiektywny sprawdzian sztuki, czy można ustalić z absolutną pewnością, co sztuką jest, a co nią nie jest. Jak widzimy, można to uczynić.

Co więcej, — można też ustalić nawet szczegóły. A więc znaleźć odpowiedź na pytanie, które dzieło sztuki jest lepsze i dobre, a które gorsze i złe, które jest dziełem prawdziwej sztuki, a które nie.

Wygląda to na tłumaczenie masła maślanem, ale tylko z pozoru: otóż rzeczywiście sztuka dobra i prawdziwa, to sztuka dobra i prawdziwa. Rzecz mianowicie w tem, iż PIĘKNO jest to pojęcie, które przede wszystkim jest w zgodzie z PRAWDĄ i

¹⁾ Oczywiście, mógłby ktoś zacząć dopytwać się: a czem jest piękno? A co to jest stosunek? Proszę o definicję, zaraz się przekonamy, że pan zabrniesz w gąszcz itd. Piękno, Dobro, Prawda, są to pojęcia proste, nie dające się już rozłożyć na prostsze. Oczywiście, są ludzie, którzy z braku lepszego pojęcia brną po gąszczach, mimo, że istnieją ścieżki, dawno już przez ludzi mądrych przeddeptane. Ale to nas nie obowiązuje do naśladownictwa.

DOBREM ²⁾. Jest to pierwsza, generalna norma krytyczna; dzieło sztuki nie może zawierać ani fałszu, ani niegodziwości.

Norm tych ustalić można więcej. Narazie zajmijmy się tylko tą jedną: zgodnością dzieła sztuki z prawdą.

NATURALIZM

Oczywiście, norma ta, niewiele ma wspólnego z teorjami na „izm“. Nie idzie tu o naturalizm, realizm itd. Kierunki te, jak nieomal każdy „kierunek“ w sztuce zawierają okrucuch prawdy, błąd ich zaś polega na tem, że z tego jednego okrucuch budują całe gmachy. Przesada i jednostronność zawsze jest zabójcza, a w docieraniu do prawdy bardziej, niż w każdej innej dziedzinie.

²⁾ I znowu dodajmy: są ludzie, którzy zaprzeczają istnieniu absolutnego Dobra, absolutnej Prawdy, absolutnego Piękna. Ale, jak już powiedzieliśmy wyżej: nie-szczęśliwi manjacy nie obowiązują nas. Człowiek zaprzeczający czemukolwiek, milcząco przyjmuje absolut, mianowicie absolut własnej poczytalności. Zaprzeczam, a więc mam prawo zaprzeczać; prawo to płynie z pewności, że się nie mylę; pewność, że się nie mylę wynika z przekonania, że jestem poczytalny. Pewność własnej poczytalności musi być absolutna, gdyby bowiem nią nie była, inaczej mówiąc, gdyby człowiek choć na chwilę zwątpił, czy jest poczytalny, zachwiałby się odrazu w swej pewności i nie mógłby niczemu przeczyć stanowczo. A więc człowiek, zaprzeczający istnieniu absolutu, daje prawdziwie niezwykły widok fałtu, który trzymając się obu rękami absolutu, wrzeszczy: niema absolutu! W imię absolutu twierdzą, że niema żadnych absolutów! To też widok ten jest, wyjąwszy prasę demokratyczną, naogół rzadki. Częściej zdarzają się ludzie, którzy mówią: „nie twierdzą, że niema absolutu, ale wątpię, czy jest“. No tak, ale już nieboszczyk Kant wywiódł, jak dwa a dwa cztery, że to także nie-szczęśliwi, łagodni manjacy.

Malarz, który dostrzegł, że czasami śnieg nie jest biały, lecz fioletowy, a niebo nie błękitne, lecz żółte — był genialnym odkrywcą ziarnka prawdy. Lecz stado matołków, którzy odkrycie to przesadzili i zaczęli malować wszystko na fioletowo i żółto, stworzyli nowy „izm“ — to tylko nieszczęśliwe matołki.

Wielki twórca będzie umiał dostrzec te drobne ziarnka prawdy, jakie się mieszczą w każdym z poprzednich kierunków i malując, zastosuje zdobycze impresjonistów, realistów, itd., nawet formistów — zdobycze prawdziwe, choć nieraz bardzo nikłe.

Lecz warunek prawdy w dziele sztuki ³⁾, to co innego niż „izm“. To norma bardzo ogólna, która brzmi: dzieło sztuki, zawierające *jakikolwiek* fałsz nie tylko będzie raziło człowieka o prawdziwie estetycznym zmyśle, ale *objektywnie* nie będzie dziełem pełnej sztuki. Tak samo dzieło, budzące instynkty złe.

PRZYKŁADY

Przykłady? Multum przykładów. Staję naprzykład przed drzeworytem (na onej-że samej wystawie leśnej) p. Janiny Konarskiej pt. „Górale“. Staję i dziwię się.

Zaczynam się przyglądać. Chcę dojść, co mnie tak w tym obrazku odstręcza ⁴⁾. Aha! Ci ludzie, leżący

³⁾ Oczywiście, warunek ten w niczem nie ogranicza praw twórcy do wkraczania w dziedzinę fantazji, czy bajki. Ale i fantazją rządzą pewne prawa (np. harmonji), co już jest zagadnieniem odrębnym.

⁴⁾ Nie należy zapominać, że Kolega J. B. jest rolnikiem i mógł zauważyć szczegóły, których ja, wychowany w mieście, nie widziałem. Stwierdzam po raz wtóry, choć to nie zgadza się z wywodami mego Szanownego Kolegi, że ta pra-

w jakichś epileptycznych pozach... Wozy... A cóż to za wozy, u Boga Ojca? Druciane wozy? Tam jakieś baby, trzymają grabie w rękach; coś niby kopki siana obok. No tak. Rozumiem. Ten obrazek kłamie. Kłamie o wozach, kłamie o babach, grabiących siano, kłamie o ludziach śpiących, kłamie o kopkach siana. Jako żywo, nigdy nigdzie takich kopek siana nie ma, nie było i nie będzie, przeczą bowiem prawom ludzkim i boskim. Prawom ludzkim, bo nigdy ludzie nie grabią siana w kopki trzyłokciowej wysokości, a średnicy na stopę. Prawom boskim, bo gdyby tak grabili, toby mieli grabienia na rok i sześć niedziel. Ciągłe by im się wszystko za walało, ciągle musieliby zaczynać na nowo i chyba z Warszawy, albo przy najmniej z Kłaja fryzjera sprowadzać z elektroluksem, aby im siano w tak misterne kopcunki ufryzował.

FAŁSZ

Otóż to. Obrazek ten mierzi, bo jest pełen fałszu. Ta pani albo nie widziała nigdy grabienia siana, albo nie ma nic do powiedzenia o grabieniu siana i śpiących ludziach z artystycznego punktu widzenia. Ten brak nadrabia ekstrawagancją. Ale to nas nie obchodzi. Jeśli artystkę emocjonuje artystycznie grabienie siana, to jej obowiązkiem jest dać nam prawdę o tem swem przeżyciu i póty dłużyć, aż prawdę wydłubie. Jeśli chce się wykręcić sianem z zadania, to nie jest wielką artystką. A już nie jest całkiem artystką, ani wielką, ani małą, jeśli grabienie siana nie emocjonuje jej artystycznie, tylko tak so-

ca p. Konarskiej wywarła na mnie wrażenie bardzo miłe. Z.

Może dlatego, że przypomina Szanownemu Koledze Millet'a, Luwr, Paryż i aperitiwy, co? J. B.

bie coś upatrzyła na ten temat i bez zobowiązania coś nam tu demonstruje.

A oto drugi drzeworyt. Pejzaż z wozem p. Gardowskiej. Rzut oka na ten pejzaż i... zgrzyt. Co tam znowu? Aha, wóz jakiś niestworzony, jakby z dwu przodków, ale nawet i tak nie, bo i przodek od wozu jest inny, niż nam artystka pokazuje. Otóż to. Malarze niechlujni wydumali sobie teorię, że sztuka to nie fotografia, że plastyka nie polega na wiernym odwzorowaniu rzeczywistości, że naturalizm w sztuce itd. Oczywiście. Ale cóż z tego? Czy ta teoryjka upoważnia malarzy do dawania nam fałszów? Czyż dlatego p. Gardowska zwolniona jest z obowiązku przestudjowania budowy wozu? Albo niech nie rysuje wozów, albo niech uczciwie, starannie, z *poczuciem odpowiedzialności* przestudjuje temat.

PRZODEK OD WOZU

Przodek od wozu? Ależ to wspaniały temat graficzny! Popatrzcie na tę mądrą, wiekami tworzoną konstrukcję osi, pasa, ławki. Popatrzcie na związanie kierownika z rozworą, z dyszlem, na oś, na buks. Każda sztuka drzewa, każdy kawałek żelaza, wszystko mądrze wyważone, od powiedniej grubości, odpowiedniej proporcji. Cóż za pole dla wielkiego artysty, który chce z tej konstrukcji dobyć na wierzch siłę, mądrość wieków, sprawność, zwartość, słowem to wszystko, co się na tę konstrukcję złożyło.

Ale dawać nam blagę o tym temacie? To proszę zostawić go na boku. Proszę rysować sitka, byle z prawdą.

Jak to robił Dürer? Proszę, niechaj panowie drzeworytnicy popatrzą na Dürera. Dürer w żadnym swym obra-

zku nie zełgał ani na włos. A każdy z nich porywa, na widok każdego człowiek czuje tchnienie wielkości.

DWA OBRAZKI

Dwu sztycharzy obrobiło ten sam temat. Konie w pługu. Dürer i, głosny zresztą sztycharz francuski, Dupont. Oba sztychy są dostatecznie znane. I proszę porównać: u Dürera ani jednej kreski fałszywej. Każdy mięsień, każda kość, każdy nieomal włos, wszystko szczerą prawdą. Ruch, linja, wszystko prawda. Ale z tej linji, z ruchu, z *konstrukcji* całego obrazka wieje taka potęga i siła, że ten koń zdaje się być zdolny wyrwać świat z zawias. Prawdę, czy stałą prawdą Dürer osiągnął zamierzony efekt artystyczny: siłę konia.

Dupont też zamierzał dobyć ze swego obrazka wrażenie potęgi i siły. Jakoteż na pierwszy rzut oka ten łeb, byczo opuszczony między kolana, te węzlaste muskuliska, jak zwały kamienia, czynią to wrażenie. Ale jest to wrażenie przelotne, które przyska, jeszcze szybciej, niż się zjawia. Już następne wrażenie jest uczuciem fałszu. Koń robi wrażenie siły skłamanej. Jakoż tak jest. Bliższe przyjrzenie się koniowi odkrywa przykrą prawdę: ten koń to kaleka. Muskuly — dęte banie, całkiem nie tak rozłożone, jak być powinny. Deltocleidomastoideus, który koniowi daje taką lakkość łba, a siłę szyi i piersi, zełgany od a do zet, czyli raczej od ucha do łokcia. Te potężne rzekomo stawy, to opoje, feler, znany każdemu dziecku.



Lud, który może wszystko, jest tak niebezpieczny, jak tyran, nawet niebezpieczniejszy od niego.

(Benjamin Constant: „Cours de la politique constitutionnelle“).

Te gigantyczne nogi pełne są martwych kości. Krótko mówiąc, ten Dupont ize końską potęgę.

BLAGA W SZTUCE

Otóż, wydaje mi się, iż się nie mylę, jeśli powiem, iż największym przekleństwem sztuki dzisiejszej, to blaga. Na wystawie drzeworytów w dyrekcji Lasów, widać to, jak w klinice. W powieściach pisarzy krajowych, w „Zachęcie“, w salonach obrazów, można skonstatować, iż większość dzieł zarazona jest blagą.

Nie wiem, czy płynie to z niechlujstwa artystów, lekceważących sobie temat, sztukę, czytelnika, czy nabywcę obrazów, który i tak (łudzą się artyści), będzie się zachwycał tem, czem mu każe prasa — czy też po prostu z braku czasu — ale dzieła sztuki dzisiejszej zbyt są przepęnlone fałszem.

A dzieło sztuki nie znosi fałszu. Prawdziwe dzieło sztuki musi być poza wszystkimi warunkami, przedewszystkiem w zgodzie z PRAWDĄ.

NIE WOLNO KLAMAĆ

Nie wolno artyście kłamać, że porusza go artystycznie temat, jeśli go nie porusza.

A pleni się w Warszawie mnóstwo artystów, zwłaszcza plastyków, najwyraźniej malujących i rytujących sprawy, które ich nic, a nic nie obchodzi. Naprzykład, na wspomnianej wystawie jest drzeworyt („Las nad morzem“ p. Hładki), jak się zdaje największa ohyda z całej wystawy, przed którą człowiek niemiejże z podziwu. Poco? Poco p. Hładki zrobiła ten sztych (i drugi, „Wiosna“, także?). Mdma paćkanina, bez żadnego wyrazu, bez żadnej linji, bez żadnej konstrukcji (brak konstrukcji ca-

łości, to nagminna choroba całej wystawy, z wyjątkiem drzeworytów p. Chrostowskiego, cudownie komponowanych, dwu, czy trzech drzeworytów p. Bartłomiejczyka, oraz kilku prac p. Fijałkowskiej, Póltawskiego, Jakubowskiego i Stellera). Drzeworyt p. Hładki nie ma żadnego celu artystycznego. Żadnego założenia. Żadnego rozwiązania. Wogóle żadnego sensu. Jest to gryzmoł, ni w pięć, ni w dziewięć. Na wystawie prac uczniów trzeciej klasy byłby zdyskwalifikowany.

Nie wolno artyście kłamać. Nie wolno kłamać, że dalszy plan w obrazku ma jakieś znaczenie, jeśli nie ma, a zachodzi grube podejrzenie, że artyście poprostu tylko nie chciało się wyciąć ła. Tak np. jest z „Limba“ p. Gardowskiej. Byłby to śliczny drzeworyt, limba byłaby kapitalna w wyrazie drzewa, całą mocą trzymającego się ziemi, wyrosłego w nieustannej walce z wichrem — gdyby nie czarny placek góry, mącący całą konstrukcję. Gdyby artystce chciało się wydłubać tę górę i zostawić tylko lekki, przejrzysty profil, krótko mówiąc, zredukować dalszy plan do jego właściwej, nikłej w tym wypadku roli — obrazek byłby porywający. A z tą kałużą farby odstręcza.

KLAMANY SENTYMENT

Nie wolno artyście używać kłamliwych efektów do wywoływania sentymentu. Jest na tej wystawie drzeworyt, którego tytułu nie pamiętam. Wyobraża górala, niosącego drzewo na ogień. Oto przykład sztuczności i kabotynizmu. Artysta upozował górala w ckliwej, fałszywie sentymentalnej, teatralnej pozie. Góral jakimś tanecznym ruchem niesie pięć, czy sześć patyków i przyciska te patyki

do łona gestem takiej czułości, jakby niósł chore jagnię.

Widza ogarnia obrzydzenie. Ma ochotę wołać:

— Ach, ty ofermo! Cóż się tak migidalisz z temi pięcioma patykami! Nie możesz wziąć naręcza, jak się patrzy? Dwadzieścia razy będziesz łąził po patyki? Patrzenie go, panienska. Dwa patyki niesie i jeszcze się z nimi pieści. Jak ci przygrzeję kijem, to ci się odrazu odechce balet indyjski na połoninie odstawić!

Otóż to. Gdyby artysta upozował tak tancerza indyjskiego, celebrującego święty taniec ognia, toby stworzył rzecz piękną, gdyż trudno zaprzeczyć, że poza górą ma pewien wdzięk. Ale ta poza w polskich górach jest śmieszna, pretensjonalna, fałszywa.

KŁAMANA KONCEPCJA

Na wystawie jest mnóstwo obrazków, usiłujących zamydląć oczy widzowi jakąś rzekomą koncepcją, której naprawdę niema. Wszystkie cztery prace p. Jurgielewicz, (zwłaszcza klasyczna wprost pod tym względem „Figura“), trzy drzeworyty p. Mrożewskiego (św. Hubert, Łowiczanka, Jarmark w Oksie) i kilka innych, mniej rażących, odznacza się kłamaną koncepcją. Są to wszystko steki szczegółów, nagromadzonych bez żadnej linii przewodniej, kombinacje bezsensowne, których sztuczność ma na celu wmówić w widza, że autor chciał wyrazić coś niezmiernie głębokiego, niedostępnego przeciętnemu zjadaczowi chleba.

EPATOWANIE BURZUJÓW

Nie wiadomo co to jest. Sadzenie się na jakieś rzekomo prymitywy? Symbolika w podejrzanym gatunku? Kpiący z widza?

W każdym razie jedno jest pewne: obrazki te wieją o miłą błagą.

Pan Kulisiewicz, niesłychanie rozreklamowany, jako lew wśród drzeworytników, Pan Z Wielką Głową, Simba Kufa, genjusz nad genjusze—epatuje znowu burżujów innym rodzajem blagi. Nabiera ich na Nędzę Życia. Jedni cierpią na weltszmerz, a p. Kulisiewicz na weltnędzę.

Rznie w drzewie tylko nędzę, smętek, zwiotczałe mięśnie, rachityczne piszczele, zaropiałe oczy, wpadnięte oczodoły, artretyczne stawy. Ależ proszę pana! Artretyzm, to choroba burżujów. Trzeba dużo mięsa (w języku pańskich modelów „chabaniny“), otóż trzeba dużo chabaniny zjeść, aby mieć takie stawy, jak pan wyrzyna. Jeśli więc specjalizuje się Pan w temacie „Nędza Szaleje Na Świecie“, to już ten artretyzm, niech pan daruje. Oraz chiragrę, tudzież pe dogrę, jakoteż lumbago.

A najlepiej nie blagować, że życie ma jedną tylko stronę. Oprócz nędzy i rachityzmu jest na świecie słońce, zieleń, kwiaty. Są panny bardzo przyjemne dla oka. Są konie, że klękajcie narody. Są psy, jak sen jaki złoty. Wszystko, co Pan Bóg stworzył jest dobre. Są smutki, ale jest się i czem cieszyć. Są kwasy, piołuny i gorycze, ale są i miody. Oprócz słabości i kalectwa jest zdrowie i siła.

Dysonans, skowyt, jest, owszem, także jednym z afektów muzycznych, ale w miarę, ale z harmonją artystyczną. Same tylko dysonanse nie stworzą symfonji. Sam tylko skowyt nędzy i rozpaczy jest kubek w kubek taksamo pretensjonalny, jak piękne damy Żmurki.

Grunt, to szczerść, prawda, zgoda z rzeczywistością.

Zbyt jednak przydługie są te rozważania. Kończmy: na wystawie widzieć można także wiele drzewory-

tów dobrych, a kilka wprost najwyższej klasy.

Spiesz się, aby rzucić nazwisko: Chrostowski!

DRZEWORYTY

P. CHROSTOWSKIEGO

Oto klasa! Drzeworyty p. Chrostowskiego tak odbijają od reszty, że dopiero w tem porównaniu widzieć można przepaść, jaka dzieli prawdziwe drzeworyty od niezbyt udolnych naśladowców. Bo powiedzmy sobie otwarcie: mizernie wygląda dziś to nasze drzeworytnictwo w świetle wystawy i wyjąwszy p. Chrostowskiego, ze dwa, czy trzy drzeworyty p. Bartłomiejczyka, z pięć p. Fijałkowskiej, jeden („Swierki“) p. Jakubowskiego, ewentualnie „Limbę“ p. Gardowskiej, i jeden („Nad Stawem“ — wspaniały przykład piękna, osiąganego szczytem, że tak rzekę, prostoty) p. Stellera — wszystko to są raczej próby, poszukiwania, błędzenie po manowcach drzeworytnictwa.

Zato prawdziwą, pełną satysfakcję dają drzeworyty p. Chrostowskiego. Oglądając te prace, człowiek taje z zadowolenia. Każdy rys, każda kreska ma sens, uzasadnienie, potrzebę, wdzięk. Najmniejszy rysunek, np. „Łódka“ jest skończonym dziełem sztuki. Każdy ma konstrukcję wewnętrzną, odrazu wpadającą w oko i wywołującą wrażenie piękna. Wszystkie elementy tworzą z tą konstrukcją logiczną, harmonijną całość; nie ma szczegółu, któryby się wyłamywał z całości, każdy odpowiada swemu przeznaczeniu, każdy jest piękny z osobna i wszystkie tworzą piękną całość. Nawet obrys tła stanowi przesłiczną linię, cudownie zestrojoną z całością obrazka.

Tak, nie ulega wątpliwości, że prace p. Chrostowskiego są drzeworyta-

mi najwyższej klasy. To jest czysta, niefałszowana, prawdziwa sztuka.

I JESZCZE JEDNO

I jeszcze jedno: ceny. Wszystkie drzeworyty mają mniej więcej równomierne ceny, wahające się przeważnie w granicach od 30 do 50 złotych. Oto, co można nazwać oburzającą niesprawiedliwością! Przecież drzeworyty p. Chrostowskiego warte są conajmniej dziesięć razy tyle. A innych drzeworytów nie kupiłbym nawet i po trzy złote!

Daję słowo, mówię zupełnie szczerze: przeważającej ilości drzeworytów z wystawy darmobym nie wziął. Nie warte są nawet szkła i oprawy, choćby i bez ramek.

Trzydzieści złotych? Czterdzieści złotych? Błaga w Polsce aż tak po-
płaca?

J. B.

Okruchy tygodnia

Antyżydowskie deklaracje Ozonu wywołały skutek, który, jak można przypuszczać, i w jednym i w drugim kierunku rozminął się z oczekiwaniami autorów. Są bowiem podstawy do przypuszczeń, iż autorowie deklaracji spodziewali się odegrać w ten sposób w opinii społeczeństwa, zdegustowanego ostatnimi wypadkami.

— Mówili o nas — taki był przypuszczalnie tok rozumowania szefostwa OZN — że wyrzucamy nacjonalizm za burtę, no więc, niech się przekonają, że nie, że się zabieramy ostro do rozwiązania kwestji żydowskiej, że zaraz jutro zaczniemy mówić z Ripplem.

Pierwszym więc kierunkiem autorów deklaracji w sprawie żydowskiej — był kurs „na społeczeństwo“

i nadzieja odegrania się. Drugim cię che przekonanie, że przecież żydzi zrozumieją sytuację, że znowu nie będą zaraz chwytac za słowo swych przyjaciół z „Naprawy“, krótko mówiac, okaza swój delikatny rozum i nie zjezą się tak zaraz.

CAŁKIEM INACZEJ

I oto w obu kierunkach kurs okazał się źle wycelowany. W społeczeństwie deklaracje przeszły niemal bez echa, a żydy rozpiekliły się nie na żarty.

Ba! Powie ktoś. Tylko bez insynuacyj. Nie wolno nikogo podejrzewac o nieszczerosc, dopóki niema się dowodów w ręku. A może deklaracje Ozonu były szczere?

No, jeśli już o to idzie, to powiedzmy otwarcie: nie bądźmy dziećmi. „Naprawiacze“ są szczerzy? „Naprawiacze“, to ideowcy? Jeszcze w tym wypadku: w kwestji żydowskiej? „Naprawa“ występuje do szczerzej walki z żydami?

Nie można, drodzy przyjaciele, być zaba, która dwadzieścia razy złapawszy się na czerwony płatek, za dwudziestym pierwszym razem myśli, że to mięso i skacze na haczyk. Już z tak notorycznymi graczami, jak „Naprawa“ dajmy sobie spokój.

ZARZEWIE

Dużo błędnych wersyj krąży na temat ostatnich wypadków w „Zarzewiu“. O ile można było ustalic z maximum pewności, sprawa przedstawia się w ten sposób, że szereg lokalnych grup zarzewiackich odmówił posłuszeństwa zarządowi głównemu i uruchomił własne pismo p. t. „Szlakiem Zarzewia“.

Wypadki rozpoczęły się od zjazdu (we Lwowie, 1 maja) delegatów sku-

pień zarzewiackich zachodnich i południowo - zachodnich ziem Rzplitej. Zjazd uchwalił rezolucję bardzo znamiennej. W zeszycie przyszłym zamieścimy przedruk z „Szlakiem Zarzewia“ ze sprawozdaniem ze zjazdu i uchwałą. Tu poprzestaniemy tylko na zwięzłym zanotowaniu faktu, że zjazd opowiedział się za konsolidacją, a zarząd głów. „Zarzewia“, ogłaszając rezolucję w prasie, ostatni jej punkt zataił.

Punkt ten brzmiał:

Zebranie Delegatów kilku skupień Zarzewia upowaznia poszczególne skupienia do wszczęcia rozmów dla porozumienia się z różnymi grupami młodzieży o ideologii narodowej.

DOŁY SĄ SZCZERE

Jak widzimy doły zarzewiackie, co MERKURYUSZ niejednokrotnie pod kreślał, ideję konsolidacji rozumieją szczerze i uczciwie, chcą tę ideję równie szczerze i uczciwie wcielać w życie, słowem postępować zgodnie z głoszonemi hasłami.

Ale górka chciała zwekslować te prądy, tak jakoś dla siebie niewygodne. I rozpoczął się ferment, ukoronowany nowym zjazdem, 25 maja, w Katowicach. Byli delegaci z Katowic, Lwowa, Lublina, Stanisławowa, Brodów. Zsolidaryzował się listownie Po znań. Zjazd zdecydował iść własną drogą, po myśli rezolucji z 1 maja i wydał w tym celu własne pismo.

Tezy programowe przypominają bardzo żywo program „Falangi“, w pierwszym też numerze ogłoszono artykuł szefa „Falangi“, p. Bolesława Piaseckiego.

Z FALANGĄ

Czy dobrze zrobili młodzi zarzewiacy, odrazu łącząc się z jedną z grup młodego pokolenia, zamiast próbo-

wać konsolidować odrazu wszystkie, jest oczywiście kwestją dyskusji.

Być może, iż będzie to pozbawieniem się możliwości działania w innych kierunkach. Być może, iż przyspieszy to proces konsolidacji, dynamizując go i rozpoczynając serję?

Czas to pokaże.

KS. PUDEK

Parafja św. Jacka zmienia rektora. Dotychczas był nim ks. prałat Trzeciak. Ks. prałat Trzeciak odchodzi. Na jego miejsce przychodzi ks. Tadeusz Puder.

Ks. Puder jest neofitą. Mimo młodego wieku (30 lat) błyskawicznie zrobił karierę. Wielu bowiem starszych od niego księży pozostaje na wikarjacie. Wśród duchowieństwa panuje przekonanie, że ks. Puder bardzo szybko otrzyma sakrę biskupią.

Z chwilą objęcia parafji przez ks. Pudra ma być utworzona pierwsza w Warszawie gmina żydów - chrześcijan i właśnie gmina ta otrzyma kościół św. Jacka. Ks. Puder deklaruje swój charakter w ten sposób: „jestem księdzem katolickim narodowości żydowskiej“.

Kościół św. Jacka jest jednym z najstarszych kościołów w Warszawie (zbudowany w roku 1605). Jest to wspaniały zabytek polskiej architektury kościelnej.

J. B.

MICHAŁKI

Pisaliśmy już nieraz o różnych sposobach i sposobikach redakcyjnych. Warto jeszcze nieco uwagi poświęcić t. zw. w żargonie dziennikarskim „michałkom“, zrzywanym z pism zagranicznych. Im temat bardziej egzotyczny, tem lepiej, bo tem mniej szans, że ktoś wpadnie na źródło na-

tchnienia. Ostatnio naprzykład często „zrzyna“ się w prasie warszawskiej t. zw. „michałki“ z prasy amerykańskiej. Na tem tle zdarzają się drobne i grube wpadunki. Amerykanie pisząc o sprawach europejskich, krępują się mało rzeczywistością, sądząc, że nikt ich nie skontroluje. Z amerykańskiego pisma przechodzi to potem do prasy polskiej i... oto rezultaty:

W „Kronice Polski i Świata“, sympatycznym skądinąd tygodniku z dn. 22 maja b. r., ukazał się artykuł p. t. „Król i 36 wampów“. Dotyczy to Ludwika I bawarskiego z dynastji Wittelsbachów. Amerykańskie źródło natchnienia tak charakteryzuje ród Wittelsbachów:

W małych ksiąstewkach niemieckich za „dawnych dobrych czasów“ bezrobotni kacykowie w mitrach zabawiali się w gronie strojnych wampów (!) a ród Wittelsbachów rej wodził pod tym względem.

Dlaczego „bezrobotni kacykowie“? Bo tak sobie wyobraża życie królów jakiś amerykański gryzypiórek, nie mający pojęcia o tym, że Ludwik I bawarski, człowiek o niepospolitym temperamencie, sprawami swego państwa zajmował się conajmniej gorliwie. Dalej czytamy w „Kronice“:

„STEILER“

Ludwik I... którego Freud uznałby za jednego z bardziej interesujących pacjentów (!)... sprowadził na swój dwór modnego wówczas portrecistę Karola Steilera...

(Przypadkiem portrecista nazywał się Józef Stieler, a nie Karol Steiler i Ludwik I go wcale nie sprowadzał, bo już przedtem malarz ten mieszkał w Monachjum).

...i polecił mu wykonać podobizny 36 wampów.

(Przypadkiem galeria składa się z 38 obrazków).

Biedny obląkany monarcha...

(autorowi coś się pomyliło z wnukiem Ludwika I, Ludwikiem II, który rzeczywiście wpadł w rodzaj o-błądu).

Pozostawił jako jedyną wartościową spuściznę po swych krótkotrwałych rządach interesującą galerję ślicznotek...

Ludwik I po swych 23 letnich (a więc znów nie tak krótkich) rządach pozostawił utworzoną przez siebie monachijską akademję sztuki, słynne galerje obrazów (Pinakoteki) i rzeźb (Glyptoteka), mnóstwo innych monumentalnych gmachów w całej Bawarii, a także wielkie dzieła gospo-darcze, jak olbrzymi kanał Men - Du-naj, zreorganizował i przeniósł do Monachjum uniwersytet z Lande-shut.

„WAMPY“

Monachjum, jako wielkie centrum sztuki, to dzieło Ludwika I. Rzecz znamienna, że przytem Ludwik I był wzorowym gospodarzem swego kra-ju, choć nie obce mu były romantyczne porywy. Tylko, że ten roman-tyzm nie ograniczał się do „wampów“. Ludwik I był jednym z oswo-bodzicieli Grecji.

Wśród „wampów“ portretowanych przez Stielerą była siostra królewska, córka i dwie synowe — nie były to więc, jak można sądzić z artykułu w „Kronice“, same kochanki królewskie. Portrety stanowiły kolekcję, będącą wynikiem zamiłowania króla do sztuk pięknych.

SENS

Zastanówmy się nad sensem propa-gandowym tych bzdur. Mniejsza z tem, że dosłownie *wszystkie* szcze-góły są kłamliwe. Ważniejsze jest to, że przekręcanie było najwyrazniej

celowe u autora (nie u tłumacza z redakcji „Kroniki“). Po pierwsze cho-dzi o zdyskredytowanie katolickiej dynastji Wittelsbachów (król nic in-nego nie robił, tylko zabawiał się w gronie strojnych wampów, kazał ma-lować portrety rzekomych kochan-ek, gotować jarzabki w szampanie i t. p.) dlatego, że Wittelsbachowie stanowić mogą kiedyś przeciwwagę pogańskiego hitleryzmu w Bawarii. Wyciąganie zaś z historii nieznanych romansów królewskich, to proceder uprawiany przez Boya na łamach „wiadomościowych“.

Propagandowe kłamstwo, kunsztownie łączące zupełnie sprzeczne ze sobą elementy znalazło oczywiście gościnnie na łamach naiwnej „Kroniki“. Kto z czytelników zaofiaruje temu pismu małego Larousse'a?

BZDURY PRECZ!

Otrzymaliśmy prospekt i egzemplarz okazowy nowego warszawskie-go dziennika. W prospekcie czytamy: „Chcesz znać prawdę—czytaj *Nową Rzeczpospolitą!* Jeżeli sprzykrzy-ło się Wam ciągle odwracanie uwagi od spraw istotnych i ważnych, za-sypywanie stekiem bezsensownych bzdur — to wiedźcie, że istnieje dzien-nik, który przynosi codziennie pełno-wartościową treść“.

Doskonale się składa, bo właśnie bzdury nam się sprzykrzyły. Rozkła-damy więc egzemplarz okazowy (nr. 37) i studjujemy:

„Kto chce poznać swoje wartości i uzdolnienia na podstawie analizy gra-fologicznej lub astrologicznej niech przyśle pod adresem naszej Redakcji z zaznaczeniem „IN-TAO“ próbę swe go pisma, względnie dokładną datę urodzenia załączając na koszty 50 groszy w znaczkach pocztowych. Dla prenumeratorów naszych uzyskaliś-

my również zniżkę 50 proc. za wizyty osobiste u pani IN-TAO (za okazaniem kwitu za prenumeratę za m-c bieżący)“.

Po tych trzech za następują analizy. Oto naprzykład, co pani IN-TAO mówi panu Włodzimierzowi G.: „Jest Pan ambitny, ostrożny, kochliwy i zmysłowy“. — No proszę, i tego zmysłowego człowieka zaliczyła pani IN-TAO do „typu... Ryb“! Jeszcze gorzej powiodło się panu „Altruście“, któremu p. IN-TAO oświadcza bez ogródek „iż należy on do „Typu Barana“.

(c. j. k.).

Nasi współcześni

FRANCISZEK MAURIAC

który firmuje akcję antypolską

Fałszywy katolicyzm Mauriaca nie jest, na szczęście, rewelacją w tym kraju. Od lat conajmniej dwu, kwestję tę można uważać za przesądzoną, w lipcu bowiem 36 roku rozpoczęła się w Polsce generalna dyskusja mauriacalna, która ostatecznie doprowadziła do ustalenia bezspornej tezy: Mauriac nie jest pisarzem katolickim. „Katolicyzm“ Mauriaca jest katolicyzmem w złym gatunku. Być może, iż kiedyś Mauriac będzie tym, za kogo dziś chce uchodzić, narazie jednak dzieła jego sączą, jak zresztą sam Mauriac powiada: „tajemną truciznę“.

ZASŁUGA „PROSTO Z MOSTU“

Zasługa podniesienia tej sprawy i wyświetlenia kwestji, bezsprzecznie doniosłej, przypada tu tygodnikowi „Prosto z Mostu“, na którego łamach inż. Adam Doboszyński, w kwietniu 1936 roku, zapoczątkował dyskusję

artykułem „O Mauriacu, czyli o nie-dobrym katolicyźmie“. W dyskusji tej, po stronie, reprezentowanej przez inż. Doboszyńskiego wypowiedziało się szereg czołowych pisarzy i krytyków literackich z p. St. Piaseckim, p. Witoldem Turno, p. Śreniawą, p. Dobraczyńskim na czele. Opozycja, nie rozporządzająca zresztą argumentami przekonywującymi i ostatecznie zmuszona do milczenia, reprezentowana była przez p. Winowską z „Pionu“, i jeśli się nie mylę, przez tygodnik poznański „Kultura“.

Powiadam: jeśli się nie mylę, nie pamiętam bowiem, czy „Kultura“ zabierała wówczas głos. W każdym razie gloryfikowała Mauriaca potem i czyni to dotychczas.

GRUBA BERTA

A jednak Mauriac, Maritain i inni pisarze tego typu, wciąż są czemś w rodzaju „Grubych Bert“, z których wiadomej marki „front“ strzela ustawnie do przeciwników argumentami:

— Mauriac nie uznaje istnienia kwestji żydowskiej! Ten głos autorytatywnego pisarza katolickiego powinien... etc.

— Mauriac potępia faszyzm. Ten głos autorytatywnego myśliciela katolickiego... etc.

— Mauriac wypowiada się przeciwko totalizmowi. To stanowisko wybitnego katolika... i t. d.

— Mauriac występuje gorąco w obronie demokracji. Ta manifestacja autorytetu katolickiego i t. d.

W ten sposób codziennie, z niesłabnącym napięciem, strzelają z Mauriaca, jako „katolika“ „Hajnt“, „Moment“, „Wiadomości Literackie“, „Nasz Przegląd“, „Polonja“, „Najes Fokscajtung“, „Kultura“, „Hajntige Najes“, „Epoka“, Dues Yiddisze Tug-

blat“, „Krakowski Kurjer Wieczorny“, „Lecte Najes“ i t. d.

Warto więc i na czasie będzie zarysować tu pobieżnie profil tej Grubej Berty.

PROFIL LITERACKI

A więc, naprzód, Mauriac z profilu literackiego. Co jest głównym rysem tego profilu? Najtreściwiej powiedziawszy: Mauriac widzi świat fałszywie. Gdyby kto chciał odmalować świat tak, jak odbija się on w powieściach Mauriaca, musiałyby odłożyć na bok wszystkie barwy, a naładować paletę tylko czernią. Musiałyby też zrezygnować z tych wszystkich kształtów, które oko pociągają, a zacząć tworzyć inne, monstrualne, niesamowite, odrażające

Czy atmosfera Mauriaca jest mniej, lub bardziej ponura, azjatycka, dostojewska, to już można uważać za dalszą część dyskusji. Fakt główny, że nie jest ona prawdziwa. Nie jest też prawdziwy katolicyzm Mauriaca, jak mówiliśmy o tem na wstępie.

— Bogactwo doktryny katolickiej jest tak ogromne — pisze inż. Doboszyński — że każdy może sobie w niej wybrać najbardziej mu odpowiadają-

ce powody do zwątpienia i najgłębszy umysł może w pierwszej chwili stanąć wobec niej bezradnie. Coprawda, tego typu wątpliwości, jakie stały się w tej książce udziałem Mauriaca, są dość banalne i świadczą właściwie tylko o nieznajomości doktryny katolickiej.

— Tok rozumowania religijnego Mauriaca — udowadnia dalej inż. Doboszyński — jest do głębi przepojony jansenizmem.

KORZYŚCI MAURIACA

Skonstatowawszy potem, że ruchy burzycielskie XVIII wieku wykorzystają jansenizm do swych celów, inż. D. pyta:

— Dlaczegoż ich kontynuatorzy w wieku XX nie mieliby wykorzystać twórczości Mauriaca? Ależ... i tu dopiero wyjaśniło się wiele rzeczy. Przecież wykorzystują! I to jak jeszcze! Przecież echa Mauriacowej sławy dolatują stale z tych stron, z których najmniej należałoby ich oczekiwać. Jeśli ktoś na wojnie spodziewa się odgłosów strzałów od południa, a echo doleci go nagle od północy, to odczuwa uzasadniony niepokój. Czyż nie może wzbudzić podejrzliwości fakt, że sławę Mauriaca, jako katolickiego (*najbardziej, najreprezentatywniej katolickiego*) pisarza głoszą właśnie nie te jaczejki, których notorycznym zadaniem jest reklamowanie wszystkiego, co wrogie katolicyzmowi... Cały mojżeszowo - wszechświatowy klan... reklamuje Mauriaca... Bywają takie usta, których chwamba mierzi...

Oczywiście problemat ten wart jest dłuższej rozprawy, co też, w polemice na łamach „Prosto z Mostu“ było uczynione, w dodatku, nie tylko gruntownie, ale bardzo przenikliwie. Dzięki temu dziś tylko ludzie nie znający sprawy, lub pisarze złej woli

MERKURYUSZ POLSKI

ORDYNARYJNY

Dzieje wżytkiego swiata w fobie zamkacacy dla informacyy polpoliley
Zalozony w roku 1661

ODDZIAŁ W POZNANIU

L. ULATOWSKI

Fredry 3, tel. 51-32

Przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Na miejscu można też otrzymać poprzednie zeszyty MERKURYUSZA. Do przekazania roczniki 1/2 lat ubiegłych

(1953-1957)

mogą nazwiskiem „Mauriac“ szermować z dodatkiem „katolik“.

Stosunkowo mniej znana jest rola Mauriaca, jako polityka.

LA JUSTE PAROLE

Rola ta tem bardziej zainteresuje czytelników polskich, że Mauriac, jako polityk poświęca sporo czasu właśnie Polsce.

Czyni to, za pośrednictwem pisma „La juste Parole“, redagow. przez siebie wspólnie z kilkoma innymi osobistościami, również gwałtownie, nagminnie i natrętnie reklamowanymi, jako „wybitni katolicy“ przez prasę żargonową z jednej strony, a takie pisma, jak „Wiadomości Literackie“, „Polonja“, „Kultura“ z drugiej.

Cóż to za pismo, ta „Juste Parole“?

W naszej teczce redakcyjnej mamy dwa zeszyty casopisma „La Juste Parole“ (20.X.37 i 20.XII.37). Rozmiar 15.5 na 24 centymetry, stron 24 i 4 strony okładki. Jest to dwutygodnik drukowany w Paryżu. Adres redakcji: 82 Boulevard Murat. Cena zeszytu 1 fr. 50

Bardzo dziwne wydawnictwo, poświęcone zagadnieniom religijnym i politycznym. Zagadnienia religijne prowadzą się do propagandy jedy-nobóstwa, przyczem głos w tej sprawie zabierają autorowie chrześcijańscy obok żydowskich. Jakaś dziwna, nigdzie nie spotykana harmonja, prze-bija ze szpałt tego pisma. Żydzi sławią chrześcijaństwo, a chrześcijanie odwzajemniają się, chwając mozaizm. Artykuły są opracowane w ten sposób, by wpoić w czytelnika przekonanie, że między mozaizmem, a chrześcijaństwem niema istotnych różnic, że drobne rozbieżności łatwo będzie wygładzić, że kościół katolicki czy protestancki jest w gruncie rze-

czy dziecięciem synagogi.

Taki ton panuje w artykułach poświęconych dziedzinom ducha. Dział polityczny czasopisma „La Juste Parole“ jest wyjątkowo uproszczony. Pomówimy o tem nieco dalej.

OKŁADKA

Dokładne oględziny dwu posiadanych zeszytów zmuszają nas do rozpoczęcia opisu od okładki.

Na stronie pierwszej, tytułowej, czytamy tuż pod nagłówkiem, że wydawcą pisma jest p. Oscar de Ferenzy. To samo nazwisko powtarza się jako obowiązujący podpis redaktora odpowiedzialnego (na str. 24) i brzmi nieco inaczej: Fränzel de Ferenzy.

Ten sam p. Fränzel de Ferenzy reklamuje się w piśmie jako autor dzieła „Les juifs et nous chrétiens“, co wskazywałoby, że jest chrześcijaninem. Do tego też zmierza przypuszczalnie cytata z ewangelji Mateusza (V.6) umieszczony również na pierwszej stronie okładki. Ale już druga strona powoduje zupełny chaos i czytelnik nie wie, z czem właściwie ma do czynienia.

DRUGA STRONA

Na stronie drugiej okładki, w obu omawianych zeszytach, znajdujemy odezwe¹⁾ do żydów pisaną najwidoczniej przez żyda. Treść jej jest taka:

Zapamiętaj to sobie:

Jeżeli jesteś, synu Izraela, wierny twej religji, lub jeśliś zerwał z synagogą;

Jeżeli się pysznisz pochodzeniem żydowskim, lub tchórzliwie to ukrywasz;

Jeżeli jesteś prawicowcem i wielkim patrijotą, lub zdążasz za czerwonym sztandarem;

Jeżeli jesteś najspokojniejszym, cichym obywatelem, lub jeśli występujesz czynnie z ramienia jakiegokolwiek partji;

Jeżeli jesteś bogaczem, a sakwa twoja jest otwarta dla wspomaganiania innych, lub

¹⁾ Odezwa ta była cytowana w MERKURYUSZU z 28.XI.37.

jeśli jest najbiedniejszy z pośród nędzarzy i walczysz o byt...

I tak dalej. Długa i monotonna odezwa kończy się w ten sposób:

Choćbyś się wyrzekł judaizmu i przyjął chrzest, antysemita nigdy ci nie przebaczą pochodzenia żydowskiego i nie unikniesz nienawiści i furji prześladowców.

Aby móc walczyć z głupotą, z szaleństwem doktryny rasistowskiej, z obrzydliwym antysemityzmem, z oszczerstwami i niegodnymi prowokacjami, aby zapobiec ohydnyemu prześladowaniu, którym podlegają żydzi w innych krajach, a które i nam grożą we Francji, aby do tego nie dopuścić, popieraj i rozpowszechniaj „La Juste Parole“.

Kim że więc jest wydawca? Raz pisze o sobie „nous chrétiens“, drugi raz wyraźnie mówi o prześladowaniach, które „nam grożą we Francji“.

TESKNOTA

Nie będziemy chyba dalecy od prawdy, jeśli wysnujemy wniosek, że p. Oskar Fränzel de Ferenzy jest chrzczonym żydem, który sobie zlekka urozmaicił nazwisko. Zaryzykujemy nawet twierdzenie, iż p. Fränzel pochodzi z Polski. Świadczy o tem jego wyjątkowe zainteresowanie sprawami polskimi oraz fakt, o czem sam pisze, że był jednym z pierwszych członków stowarzyszenia „Amis de la Pologne“.

Pan Fränzel pisze dosłownie:

Jestem jednym z tych, którzy w roku 1919 powitali wskrzeszenie Polski niemal z taką samą radością, jak powrót Alzacji i Lotaryngji na łono ojczyzny francuskiej... Choć więc odmówiono mi wizy (tak!), kiedy chciałem jechać na miejsce i przeprowadzić ankietę, trzymam się niezłomnie zasady, że trzeba pozostać obiektywnym.

Jak widzimy, wydawca „Juste Parole“ czuje słabość do naszego kraju. Chciał nas nawet odwiedzić, lecz sprzeciwiły się temu władze konsularne. Jak tam było, i co tam zaszło, nie wiemy. Ale fakt ten uważamy za godny zapamiętania.

...ET NOUS CHRÉTIENS

Trzecia strona okładki (zeszyt z 20.X.37) przynosi przegląd taryf pocztowych i warunki prenumeraty, co nas nic nie obchodzi, na czwartej zaś znajdujemy niezwykle charakterystyczną reklamę książki „Les Juifs et nous chrétiens“, napisanej przez p. Oskara Fränzel de Ferenzy. Reklamę z tych względów ciekawą, że złożyły się na nią cztery krótkie wyjątki z recenzji prasowych. Warto je przytoczyć:

„Dokładność w przedstawieniu faktów i jasność idei związują czytelnika bardzo silnie z tą książką. Zawarte w niej myśli św. Bernarda, Karola Peguy, Wielebnego O. Dieux i Pani Ancelet - Hustache odzwierciedlają prawdziwy pogląd katolicki na zagadnienie żydowskie“. (Vie Catholique).

„Lekcja sprawiedliwości, którą nam daje w swej książce p. Oscar de Ferenzy, idzie w parze, co jest zrozumiałe, z lekcją pokory. Ach, jakże by to było dobrze, gdyby liczni katolicy zechcieli pomedytować nad tą treścią książki. Obok mądrych pouczeń dotyczących doniosłego zagadnienia ludzkiego, wielu znalazłoby w niej, przypuszczam, żywsze wyobrażenie o obowiązkach chrześcijańskich“. (Sept, organ OO. Dominikanów).

„Książkę p. de Ferenzy przeczytałem w ciągu jednego dnia. Wzruszyła mnie głęboko. W dzisiejszych burzliwych czasach, kiedy zaczynają płonąć pochodnie wojny domowej, miło jest usłyszeć słowa tak łaskawe. Książka ta, powtarzam, spełnia dobre dzieło“. (Univers Israelite).

„Jest to książka odważna, gdyż trzeba mieć dobrze zahartowany charakter, zwłaszcza w czasach obecnych, aby odważyć się na zaatakowanie przesądów w najbliższym otoczeniu. Książka ta powinna się znaleźć w każdym domu, jak również we wszystkich bibliotekach chrześcijańskich“. (Biuletyn Żydowskiego Stowarzyszenia Kulturalnego w Lille).

PÓŁ NA PÓŁ

Z powyższego widzimy, że redakcja „Juste Parole“, reklamując książkę wydawcy, przytoczyła dwa głosy chrześcijańskie i dwa żydowskie. Pół na pół, co zresztą jest właściwością tego pisma.

Opinia kół żydowskich w tym wy-

padku ma małe znaczenie. Ciekawsze są głosy pism katolickich. Otóż tygodnik „Sept“, często cytowany przez naszą prasę t. zw. demokratyczną, jest organem pewnej grupy dominikanów - polityków, zmierzających do porozumienia z Folksfrontem. Czytelnikowi polskiemu trudno sobie coś podobnego wyobrazić, we Francji jednak robota kominternowska zaszła tak daleko, że ukazują się tam pisma, głoszące współpracę katolicyzmu z bolszewizmem. Najjastrawszy przykład, to słynna „Terre Nouvelle“, której godłem jest krzyż z młotem i sierpem.

O tendencjach „Vie Catholique“ najlepiej świadczy powoływanie się na O. Dieux z kongregacji oratorjanów. Doskonały ten mówca zasłynął od kilku lat jako organizator wieczorów dyskusyjnych z rabinami. Zgromadzenia takie, obliczone na frekwencję laików, odbywają się w Paryżu i w innych miastach Francji i Belgji. Zakończenie dyskusji bywa zawsze jednakowe: mówcy dochodzą do wniosku, że Kościół jest właściwie dziecięciem synagogi, wobec czego należy wspólnie pracować nad uszlachetnieniem rodzaju ludzkiego.

Oratorjanin Dieux urządzał poza tym wieczory dyskusyjne w miastach algerskich, z udziałem duchowieństwa katolickiego, muzułmańskiego i rabinów. Tu również wszystko odbywało się według zgóry ułożonego schematu. Uczestnicy uchwalali wniosek o konieczności współpracy.

REDAKCJA

Poznaliśmy niezgorzej oblicze duchowe wydawcy „Juste Parole“. Wystarczyła nam do tego, jak widzimy, okładka.

Szukajmy dalej. Na czołowej stronie czasopisma widzimy nazwiska

trzynastu współpracowników. Kto tu jest żydem, kto katolikiem, a kto neofitą, trudno zgadnąć. Wpada przede wszystkim w oko wybitny filosemita ks. kanonik Desgranges, następnie przełożony misji N. M. P. Sjońskiej ks. Devaux²⁾, wspomniany wyżej O. Dieux, p. Jacques Maritain i p. François Mauriac. Wszyscy tworzą „Comité de patronage“, czyli komitet opiekuńczy, biorą więc odpowiedzialność za kierunek pisma.

KIERUNEK POLITYCZNY

Co do sposobu interpretowania zagadnień religijnych przez „Juste Parole“ niema już wątpliwości. Ważniejszy jest dla nas, Polaków, kierunek polityczny wydawnictwa, któremu patronuje p. François Mauriac.

Możnaby krótko powiedzieć, że jest to kierunek antypolski. Wszyscy pracownicy cierpią na jakiś uraz, który przejawia się w nienawiści do wszystkiego co polskie.

Bojowym artykułem w zeszycie z 20 października jest rozprawa (pięć bitych stron) pod tytułem „Le drame juif en Pologne“. Autor zapewnia na wstępie, że nikt w Polsce nie powitał niepodległości z taką radością jak żydzi. Lecz szybko nadeszło rozczarowanie.

Dalej następuje opis pogromów, prześladowań, ustosunkowania się władz polskich do kwestji żydowskiej, co oburzyło, według autora, światłych katolików francuskich.

W tym samym numerze jest drugi artykuł omawiający pomoc, okazawaną żydom polskim, niemieckim i rumuńskim przez międzynarodowe stowarzyszenia humanitarne.

Zeszyt z 20 grudnia 1937 roku jest

²⁾ Prosimy porównać MERKURYUSZ nr. 26, artykuły o braciach Ratisbonne.

Czech, przeżywający boleśnie dzisiejszą tragedję swego kraju.

(Z artykułu wstępnego „Bandera polska i umowa pittsburska“).

LA JUSTE PAROLE

PARAISSANT DEUX FOIS PAR MOIS

Paryż, 20 grudnia 1937.

Pod egidą Unji Wyznawców Monoteizmu w Algerze, Wielbny O. Dieux Oratorjanin przemówił 16 listopada w przepełnionej sali do słuchaczy różnych wyznań i środowisk. Poruszył sprawę niebezpieczeństwa, jakie zagraża światu wskutek braku jedności między prawdziwie wierzącymi.

Podkreślił przede wszystkim szczęśliwy pomysł, na jaki wpadł Wielbny O. Dieux, aby rozpocząć odczyt od złożenia hołdu pamięci dwu nieśmiertelnych: Wielkiego Rabina Abrahama - Izaaka Blocha, o którego postępku i chwalebnej śmierci wszystkim wiadomo, oraz czechosłowackiego księdza Oppitza, który, w sposób równie wspaniały, poświęcił własne życie aby uratować zakładnika - żyda, ojca dwunaściorga dzieci, skazanego na rozstrzelanie.

Przez przytoczenie tych dwu przykładów, słynny Oratorjanin pragnął wy badać „tętno“ zgromadzonych. A przekonawszy się, że serca słuchaczy biją wspólnym rytmem, już bez trudności sięgnął ku tym wyżynom, które są dostępne tylko dla myśli czystych, ożywionych wiarą gorącą.

Brak wprost słów na pochwałę tego pięknego odczytu, zwłaszcza tych momentów gdy wspaniały mówca zażądał w sposób szczery i porywający natychmiastowego i całkowitego zjednoczenia narodów zaludniających francuską Afrykę północną...

Ach, czemuż to muzułmane, chrześcijaństwo, żydzi i deisci nie wezmą się za ręce, aby zapobiec upadkowi cywilizacji! Czyż nie znajdują w świętych księgach, które im czytano za młodu, wskazówek dotyczących zgody, miłości, zjednoczenia, poddyktowanych przez wspólne Słowo boże?

Ateizm i materjalizm, głoszone przez ekstremistów i przez rasistów, prowadzą ludzkość do zguby.

Niebezpieczeństwo jest wyraźne, to też światłe i najszlachetniejsze serca krzyczą

na alarm, a wielcy przewodnicy, prawdziwie godni tego określenia, którzy dbają o nasze dusze, wzywają nas do opamiętania.

Wszak Jego Świątobliwość Pius XI za pośrednictwem śmiałych encyklik i Jego Eminencja Wielki Rabin Prato, protestanci Paryża, Budapesztu, Mędrcy muzułmańscy i zwolennicy Kartezjusza określili już zło i zalecili zjednoczenie wszystkich wierzących dokoła jednego pojęcia Boga.

Następnie mówca złożył hołd tym chrześcijanom, żydom i muzułmanom, którzy już podjęli się tej pracy. Nikt nie będzie ukrywał, że praca jest trudna, ale każdy uzna jej wielkość...

— Ponieważ O. de Foucauld nazwał swą samotnię w Hoggarze „Braterstwem“, nazwijcie wasz kraj w ten sam sposób! — zawołał prelegent w uniesieniu.

Odpowiedziano mu długotrwałą owacją na jego wspaniałe wywody; oklaskiwany gorąco, O. Dieux wyszedł wolnym krokiem z sali, chyląc się kornie.

Wieczór ten nie będzie zapomniany.

(Wyjątki z korespondencji p. t. „Une importante conférence du R. P. Dieux à Alger“. Napisał Eljasz Gozlan Redakcja „Juste Parole“ dodała taką uwagę: „Nasi chrześcijańscy czytelnicy ocenią należycie niniejsze sprawozdanie, napisane przez żyda. W sprawozdaniu tem występuje jaskrawo piękna idea zjednoczenia wierzących, głoszona przez O. Dieux“).

NEW MASSES

Nowy Jork 3 maja

Niewierni Tomasz, którzy wciąż gładzą o „nieprawdopodobieństwie“ tych zbrodni, do których się przyznali wspólnicy Trockiego z ZSRR, powinni sobie przeczytać polityczne wypowiedzi samego mistrza. Oto w zeszycie kwietniowym pisma **The Social Frontier**, Leon Trocki oświadcza niedwuznacznie, że „Rewolucja polityczna w ZSRR jest nieunikniona“. Oświadczenie to, będąc owocem rozgoryczenia, niepowodzeń i zbożnych pragnień, jest nietyle prorocstwem, ile raczej nadzieją, choć autor wygłasza je jako polityczną prognozę, opartą na nieomyślnej analizie naukowej.

Rzecz prosta, że p. Trocki nie poprzestaje na samych prorocत्वach. Ten człowiek zdecydowanego czynu, ten rzekomy marksista, chce nie tylko zrozumieć świat, ale i zmienić go. „Oczywiście jestem gotów wziąć udział w takiej walce o wyzwolenie“, powiedział w wywiadzie. Widocznie obalenie rządu sowieckiego mu nie wystarczy; Trocki tęskni do chwalebego udziału w tem obaleniu.

Więc nowa orientacja? Bynajmniej. Trocki już od szeregu lat żywił te same nadzieje i zamiary. Był tylko powściągliwszy, dopóki jego „rewolucja“ znajdowała się jeszcze w fazie konspiracji. Knując „zamach pałacowy“ w ZSRR wespół z Zinowjewem, Radkiem, Bucharinem, Tuchaczewskim i różnemi potęgami faszystowskimi, pilnie baczył, naturalnie, by nie za wiele odsłonić w swych publicznych wypowiedziach. Boć wtedy niedyskrecja równała się klęsce. Teraz natomiast, gdy konspirację zdemaskowano, gdy uniemożliwiono ostatnie nadzieje na „zamach pałacowy“, Trocki przyczynia się jak może do wywołania „rewolucji“, ogłaszając swe pragnienia — prorocтва w nadziei (w **pełnej** nadziei, to pewna!), że uzyska poparcie ludowe.

(Notatka redakcyjna p. t. „Trocki się ofiarowuje“).

THE PATRIOT

Londyn, 12 maja

Jeśli nie zajdzie coś nieprzewidzianego, plany rządu sowieckiego, zmierzające do ustanowienia, zapomocą Kominternu, straży przedniej bolszewizmu w Europie Zachodniej, zostaną pokrzyżowane. Już są oznaki, że bolszewicy widzą sami niepowodzenie swych starań o to, by sprowadzić Hiszpanję na poziom Rosji. Po Hiszpanji miała przyjść kolej na Francję, a Hiszpanja w ręku czerwonych byłaby z pewnością ułatwiła projektowaną rewolucję po drugiej stronie Pirenejów. Ale katusze Hiszpanji nie poszły na marne, jeżeli otworzyły francuzom oczy na to, jaki byłby ich los, gdyby się nie zdołali przeciwstawić zamiarom Sowietów. Ryski korespondent Times'a pisze w numerze z 3 maja, że to Komintern kierował z Paryża wojną domową w

Hiszpanji. Moskwa uważała Francję za naród najbardziej sobie przyjazny i — zaznacza korespondent — „ta przyjaźń czyni Francję tem bardziej nieodporną; im ściślejsza przyjaźń, tem lepsza sposobność do wywrotowego ataku“.

Wcale ładny obrazek przyjaźni. Rzecz zdumiewająca, że świat dotychczas nie zdaje sobie sprawy z faktu, iż rewolucją wszechświatową kierują z Moskwy najwytrawniejsze łotry.

(Notatka redakcyjna p. t. „Najgorsze łotry w świecie“).

Kurjer Polski

Warszawa, 25 maja

Afrykańskie miasteczko Jogonda. Na rozprażonym słońcem rynku grzmią trąby francuskiej orkiestry wojskowej. Tysiące murzynów gdzieś z głębi mrocznych puszczy zwartą masą otacza oddział czarnej piechoty. podziwiając kapiące „złotem i srebrem“ mundury swych współplemieńców, wygrywających skoczne melodje na tak pięknie błyszczących instrumentach. Jest dzień targowy. Wre handel i... werbunek do wojsk kolonialnych Francji. Działają czar wzorzystych uniformów.

Z tysięcy półnagich murzynów, przybyłych na targ do Jogondy, ledwie połowa zostanie w domu. Reszta, pociągnięta maglą żołnierskiej wspaniałości, mistyczną siłą oddziaływania zaczarowanych tręb i fletów kapeli wojskowej, uzupełni kadry francuskich wojsk kolorowych, zaciągnie się do armji kolonialnej.

Najpierw nieśmiało, w pojedynkę, potem grupami, masowo znikają będą w wielkim białym namiocie komisji werbunkowej, gdzie badani, opukiwani, osłuchani, jeśli zdolni, otrzymują przydział, staną się żołnierzami.

Przez całą Afrykę francuską ciągną dziś komisje wojskowe, werbując rekrutów do armji kolorowej wielkiej Francji. Napływ czarnych jest ogromny, rośnie potęga wojskowa Republiki. Akcja ta pozostaje w związku z postanowieniem Paryża zwiększenia efektywów armji kolorowej o 70 tysięcy ludzi rocznie, przyczem Indochiny dostarczyć mają o 20 tysięcy rekrutów więcej, niż dotychczas, a Afryka o 50 tysięcy.

MILION DLA WILNA

Szczęście uśmiechnęło się niezamożnym

Szesnasty z kolei, a pierwszy według nowego podziału losów na pięć części, milion złotych padł w ostatnim dniu ciągnięcia czwartej klasy czterdziestej pierwszej Loterii Klasowej na nr. 128215 w Wilnie.

Czytamy często o trudnościach, jakie przeżywa wileńszczyzna, to też milion ten będzie miał szczególne znaczenie dla gospodarstwa miejscowego i przyczyni się w dużej mierze do podniesienia dobrobytu ludności tej części naszych Kresów. Powstaną nowe warsztaty pracy, które licznym rodzinom bezrobotnych zapewnią możliwość zarobkowania.

Nie posiadamy jeszcze dokładnych szczegółów, dotyczących osób, obdarzo-

nych tak szczerze przez Fortunę. Na razie wiadomo tylko tyle, że są to osoby niezamożne, dla których kapitał odegra decydującą rolę w ich dotychczasowym trybie życia. Na pięć osób, wygrały trzy panie. Jest to znamienne, gdyż podczas ubiegłego ciągnięcia cieszyły się panie specjalnymi względami losu.

Dziś każdy z tych, co wygrali jest posiadaczem 160.000 złotych, dzięki temu, że los podzielony został na pięć części. Przyszłość należy do nich i do tych, co wygrają w rozpoczynającej się czterdziestej drugiej Loterii.

Trzeba się tylko pośpieszyć z nabyciem losu do pierwszej klasy, bo ciągnięcie zaczyna się 22 czerwca r. b.

Nie jest to zresztą żadne novum. Wojska kolonialne nieraz już oddały Francji wielkie usługi i w niejednym jeszcze wypadku na przyszłość zadokumentują swą wierność dla metropolji.

Po raz pierwszy w Europie oddziały kolorowe wystąpiły w 1870 roku w wojnie francusko - pruskiej. W czasie wojny światowej na froncie zachodnim walczyło ich już 600 tysięcy, a 350 tysięcy stanowiło kolumny zmilitaryzowanych robotników, zatrudnionych przy pracach na tyłach.

W maju 1933 roku rząd paryski rozciągnął obowiązek powszechnej służby, wojskowej i na kolonie, ale rozporządzenie to dotąd nie było stosowane w całej rozciągłości. Niemniej, w styczniu 1937 roku armja kolorowa Francja liczyła 1.300.000 ludzi i od tego czasu stale się zwiększa. Na wypadek wojny kolonie dostarczą Republice 3.000.000 żołnierzy.

Dziś armja kolorowa Francji liczy 19 dywizji. Sześć z nich, w sile 100 tysięcy ludzi, jako korpus ekspedycyjny, stacjonuje w Europie, na pograniczu Niemiec. Z reszty, siedem dywizyj rozmieszczono w Algierze, Tunisie i Maroku, sześć w Afryce centralnej, zachodniej, na Madagaskarze, w Syrii i Indjach francuskich. Jest to wojsko dobrze wyszkolone, zaopatrzone w najnowszy sprzęt wojenny: czołgi, ciężką artylerję i samoloty.

Równoległe z wzrostem efektywów

francuskiej armji kolonialnej idzie rozwój szlaków transportowych, komunikacji, łączącej to kolorowe ramię zbrojne Francji z jej organizmem militarnym w metropolji. Gdy dawniej przerzucenie wojsk z Afryki zachodniej do Europy wymagało aż ośmiu tygodni czasu, po wybudowaniu kolei transsaharyjskiej, przestrzeń ta będzie pokonana już w 12 dni. Trzymiljonowa armja kolorowa szybko więc będzie mogła być dostarczona na fronty europejskie, by znakomicie wzmocnić siłę uderzenia wojsk francuskich.

Dlatego to niedawne postanowienie rządu paryskiego, zwiększające roczny dopływ kolorowych do armji o 70 tysięcy osób, wywołało tak wielkie zainteresowanie w Europie i taki niepokój u niektórych sąsiadów Francji...

(Artykuł „Kolorowa armja Francji rośnie“).

The New REPUBLIC

Nowy Jork, 4 maja

Biskup Münsteru w Westfalji, przewielebny Clemens August von Galen, miał w katedrze kazanie o wpływie Kościoła na wychowanie młodzieży. Wtem jakiś Nazi w mundurze zerwał się i zawołał:

„Jak może mówić o młodzieży człowiek, który sam nie ma ani żony ani dzieci“.

Biskup odparł grzmiącym głosem: „Nie dopuszczę w tym przypadku żadnych docinków, uwłaczających Führerowi!“

(Z rubryki „The Bandwagon“).

NASZ PRZEGLĄD

Warszawa, 25 maja

Trudno jest przyrównać pismo do arki, ale w tym wypadku paralele sięgają w niezmierną dal. Pierwszy numer pisma żydowstwa austriackiego p. n. „Zionistische Welt“ wydaje mi się arką ocalenia, kołyszającą się na wodach potopu. Jestto ocalenie ideologiczne, jedyne, jakie możliwe było w obecnym kataklizmie. W moich oczach stronice tego pisma bieleją teraz, jak żagle na arce syjonizmu.

Bo nic innego nie zostało — dla tych najbardziej zasymilowanych i najgłębiej rozczarowanych Żydów austriackich. Rozwiałły się sny o Paneuropie, zgasły złudzenia, przebrzmiały echa kawiarnianych sympozjonów, umilkły słodkie tony walca. Z pokładu arki syjonistycznej rozlegają się słowa rozkazu, wzywające do powrotu na łono Narodu Żydowskiego. W artykule wstępnym redakcja formułuje hasło spotęgowania woli samozachowania. Wola ta musi być równie silna, jak losem narzucona konieczność zlikwidowania dotychczasowych form życia. Do przerażonych, zrozpaczonych, szukających ucieczki — mówi nowe pismo wiedeńskie: „Znów staliśmy się jedną rodziną, która tylko w samej sobie znaleźć zdoła odwagę i wolę“.

Do tych Żydów austriackich, którzy dotąd „stali zdaleka od żydowstwa — płyną z nowej trybuny słowa ojcowskie: karcące i przebaczące. Przypomina tym Żydom „Zionistische Rundschau“, że nie chcieli słuchać Teodora Herzla, który w Wiedniu rozpoczął swą działal-

ność i w tym mieście wezwał swój naród do opamiętania się... Przed czterdziestu już laty Herzl ostrzegał: „O tym, kto jest obcy w kraju, rozstrzyga większość; jest to kwestja siły jak wszystko w stosunkach między narodami“.

Patosem proroczym dzwięczy apel nowego pisma austriackiego Żydów, zwrócony do odszczepieńców i asymiliatorów: „Piliście z obcych źródeł, klękaliście u obcych ołtarzy, — i co najgorsze — korzyliście się i żebraliście na obcych progach. I oto rozpaczacie — wasze samozachowanie jest rozczarowaniem śmiertelnym. Lecz w tej godzinie waszej rozpacz, chcemy w was tchnąć odwagę samopoznania, odwagę rozpoczęcia własnego, żydowskiego życia. Syjonizm, zgłębiwszy żywy sens naszych dziejów, pokonawszy nieopisane trudności, wszedł na drogę, wiodącą do celu, którym jest zachowanie Narodu Żydowskiego...“

Z opublikowanych na łamach „Zionistische Rundschau“ odezwo Gminy Żydowskiej w Wiedniu, komunikatów instytucyj społecznych — wyłania się wstrząsający swym napięciem dramatycznym obraz obecnej sytuacji żydowstwa austriackiego. Przez artykuły i odezwy snuje się główny temat: wychodźstwo. Na pierwszym planie Palestyna, lecz w rozważaniach emigracyjnych nie pomija się innych również krajów. Nastrój odjazdu rozstania. I przysięga, którą wszyscy sobie składają: bez względu na to, dokąd nas los zapędzi, spotkamy się kiedyś tam, w Palestynie i tam się ześrodkują myśli nasze i dążenia.

Tymczasem pogodzić się trzeba z losem wygnańców. Sulamith wśród swoich „Spruche“ umieszcza aforyzm: „W kolebce każdego dziecka żydowskiego leży nie widzialny kij wędrowny“. W dziale inseparatowym linje okrętowe zapraszają „nach allen Erdteilen“. Chodzi tylko o wizy.

W ogłoszeniach reklamują „Nordamerika (Ost- und Westkueste), Zentralamerika, Südamerika, Indien, Ostasien, Australien“. W tymże dziale prezentują się nauczyciele języków. Na Rembrandstrasse można się szybko nauczyć francuskiego i angielskiego, pod znakiem „A-41“ — przyjmuje oferty profesor hiszpańskiego, języka „Süd- und Zentralamerikas“. Mandler załatwia „Übersee und Stadttransporte“.

Z komunikatów widać, że formuje się kulturalne życie narodowe. Znika Assi-



RADIODETEKTORY z głośnikami SOS z gwarancją pięknego odbioru instaluje wyłącznie Stacja Odbiorcza Skotnickiego. Warszawa Bugaj 11. Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw. Wszelkie informacje korespondencyjnie.

lia nota bene) takiego Tow. Szerzenia Polsk. Szt. wśród Obecnych, które działa pod oficjal. auspicjami. Ponicować nieco krytyków stołecznych, t. zw. polskich w kraju i zagranicą (w takim Paryżu kto robi deszcz i pogodę o sztuce polskiej). Któregoś już raz, raczej nie raz, wskazywałem na ten ważny odcinek w rozmowie z jednym z Redaktorów Merkuryusza.

Oddawną amator sztuki, zbieracz wedle sił i możliwości, ze mnie. A propos Bartłomiejczyka, mam z przed kilkunastu laty wcale miły drzeworycik z tych miniaturowych. Jak sądzę z tego, co Pan pisze, Bartłomiejczyk się popsuł, szkoda, powinien się poprawić. Ach te „nowe“ prądy, kult wszelkiej łatwizny (wmówione durnej publiczności), kult pseudoprymitywów, pseudofolklorów.

Wiadome siły grają na tem wszystkim, jak na fortepianie, on épate le bourgeoisie, nabijają w butelkę, i nabijają kieszenie. Tragiczna szarlanterja. Takie talenty, dawniejszych Picasso. Staruszek Pankiewicz, odwiedzaliśmy go z 10 lat temu w Paryżu, i ten się poślizgnął. Albo przewrotny, albo w piętę goni. A książka o nim Czapskiego — à la Paryż Bernheima.

Bardzo, bardzo ciekawy, żywy artykuł Pana. Doskonale najprawdziwsze powiedzenia i określenia (o terrorze, chorobach św. Wita, o Wiktorze Podoskim, choć nie mam w oczach jego grafiki, ale w pamięci mam jego krytyczne artykuły z dziedziny sztuki); świetne jest określenie o musnięciu skrzydła motyla.

Życzę dalszej, owocnej pracy.

A. Igowski (Łotwa).

KAŻDY WOJUJE CZEM UMIE

Ponieważ w rubryce „Czytelnicy robią gazetę“ przyjmuje Merkuryusz zdania, z którymi się niekoniecznie godzi, proszę więc, by przyjął i moje które będą polemizowały z jego wywodami. Mianowicie w kwestyi zbliżenia polsko - czeskiego.

„Merkuryusz“ stawia warunki tego porozumienia. Warunek pierwszy („Przełom wewnątrz - polityczny w Czechosłowacy, likwidacja obecnej mafji rządzącej i przyście do władzy nowych ludzi i grup, bezwzględnie polonofilskich“) oraz drugi („Usunięcie wszelkich wpływów i agatur ZZSR z terytorium Cze-

chosłowacy“) uważam za illuzoryczne. Pytam się bowiem, kto ten pierwszy warunek przeprowadzi i kto dopilnuje, by został faktycznie, a nie pozornie wypełniony? Przecież trudno przypuścić, by Czechosłowacya zgodziła się na tak daleko idącą kontrolę z naszej strony i na tak daleko idącą ingerencję, byśmy mogli powiedzieć „ten a ten pan, proponowany na ministra tego a tego resortu nie jest dosyć polonofilski“ albo „ten a ten pan nie daje dostatecznych gwarancyi, że nie należy do mafji“. Jeżeli u nas samych (jak to Merkuryusz niejednokrotnie stwierdzał) różne mafje mają znaczne wpływy, jeżeli, w naszym własnem Państwie nie możemy dotychczas tych wpływów wyeliminować — to czyż jest do przypuszczenia, byśmy mogli to przeprowadzić w państwie ościennem?

Co do warunku drugiego, to analogicznie z pierwszym, stwierdzić muszę z boleścią, że agatury ZZSR mają u nas bardzo silne wpływy, czego dowodem procesy przeciw komunistom. A więc — powtórzę pytanie — jeżeli u siebie nie potrafiliśmy tych wpływów wyplenić, to jakże potrafimy dokonać, by wyplenila je Czechosłowacya, która jest niemi o wiele więcej przesiąknięta, niż Polska?

Warunek piąty („Unja celna i wojskowa Czechosłowacyi z Polską“) — ten zostałby z radością przez Czechów przyjęty, bez żadnego szemrania. I niewątpliwie Czesi wyszliby na unji wojskowej z nami znakomicie. Ale zaryzykuję twierdzenie — i to bez obawy jakiegokolwiek sprzeciwu — że Polska wyszłaby na tej unji w razie wojny fatalnie. Wszak armia czeska zdobyła sobie wszędzie zasłużoną niesławę. Nie mówię o wojnie światowej, podczas niej Czesi mogli się zasłaniać twierdzeniem, że nie chcieli walczyć za Austryę przeciw Entencie. Ale **na przykład** pod Skoczowem, gdzie przecież chodziło o **ich interes**, gdzie mieli znacznie większe siły, niż Polska, gdzie mieli ciężką artylerję, której nam brakowało? O bitności Czechów mógłby też coś powiedzieć generał francuski Mitelhauser (Alzatczyk), który z ramienia Francyi organizował armję czeską po wojnie światowej. Postanowił on w roku 1919 zająć dla Czechów Raciborz. Zarządził więc koncentrację nad granicą w pobliżu Raciborza. Ale okazało się, że formacje stały się w stanie liczebnym równo o 50 proc. mniejszym, niż były powinny. Generał Mitelhauser za-

niechał zamierzonego raidu na Raci-borz — a tylko bez ogródek powiedział oficerom czeskim swoje zdanie o „dzielnych wojakach Szwejkach“. Tę historię opowiadali mi Niemcy, obywatele czechosłowaccy, a potwierdził mi je oficer marynarki angielskiej, kapitan Barton, który był wówczas z ramienia Anglii „Commander of the Danube“ w Pressburgu (przepraszam, w Bratislavie). Wiedział o niej także pułkownik angielski Coulson, szef Komissyi alianckiej na Śląsku Cieszyńskim. Sądzę, że „sapienti sat“ — a przecież rozumu Merkuryuszowi nikt nie może odmówić.

Zupełnie słusznie pisze „Merkuryusz“, że „byłoby nonsensem, gdybyśmy z niechęci do Czechów oddali ich Niemcom na pożarcie, nie bacząc, że smok germański z kolei zabierze się do nas“. Ale czy nie takim samym, a raczej gorszym nonsensem byłoby prowokować smoka germańskiego, stając w obronie Czechów? Jaki byłby rezultat? Taki, że „smok germański“ zabrałby się do nas, tylko prędzej. Bo miałby przeciwko nam pretekst „casus belli“, któregośmy mu sami dostarczyli — a przecież, wobec powyższej przytoczonych przykładów wartości bojowej Czechów, nie moglibyśmy polegać na ich militarnej pomocy.

Pozatem zaś, bynajmniej nie jest do-wiedzione, że Niemcy po połknięciu niemieckiej części Czech (terytoriów węgierskich i słowackich nie wzięliby dla siebie, boby im to uniemożliwiło „pénétration pacifique“ do Węgier) zechcą nas połknąć. Przedewszystkiem dlatego, że Niemcy dosyć dobrze umieją kalkulować, by sobie zdać sprawę, że „połknięcie“ Polski, narodu tak licznego i tak patryotycznego, sprawiłoby im niezmiernie wiele trudności wewnętrznych — a na wypadek wojny z osią Londyn—Paryż mogłoby się pomścić na nich fatalnie. Tego zaś Niemcy nie zaryzykują.

Ale jest jeszcze drugi powód, dla którego nie sądzę, by Niemcy, o ilebyśmy wspólnie z nimi, z Węgrami i ze Słowakami wzięli udział w rozbiórce Czech, by Niemcy zwrócili się przeciwko nam. Sięgnijmy do historii. Otóż Długosz notuje, że przed bitwą pod Grunwaldem bohater narodowy czeski, Zižka z Trocnova, zwerbowany przez Króla Władysława Jagiełłę, posłał jednego ze swych rycerzy do Ulryka von Jungingen z propozycją, że za pewną zapłatą w czasie bitwy zdradzi Po-

laków a przejdzie na stronę Krzyżaków. Ulryk von Jungingen tę propozycję odrzucił. (Dziś powiedzianoby, że był głupi — ówczesni ludzie mówili, że szanował swoją cześć rycerską). Otóż (de gustibus non est disputandum) wolę mieć takiego wroga, jak Ulryk von Jungingen, niż takiego sprzymierzeńca, jak Zižka z Trocnova.

I tu przechodzę do zapytania, skąd pewnością, że Czesi, którzy, jak bardzo słusznie Merkuryusz pisze, kierują się obecnie w stosunku do nas maksymą „kiedy trwoga to do Boga“ — że oni dotrzymają tego, co nam obecnie przyrzekną?

Wszak Gallus — a pisał on przecież o czasach, w których Polska najcięższe walki toczyła z Niemcami, pisze „Bohemi sunt Polonorum infestissimi inimici“ — a więc gorszymi od Niemców. Jeżeli zaś od „magistra vitae“ przejdziemy do „mądrości narodów“, do przysłów, to u Knapiusza (jeżeli dobrze pamiętam) są dwa adagia o Czechach. Pierwsze z nich brzmi: „Chcesz doznać zdrady. Weź Czecha do rady“. A drugie:

„Každy czem umie wojuje:
Węgiel kielichem,
Niemiec krytyem sztychem
A Czech wytrychem“.

I dlatego muszę też polemizować z zdaniem „Merkuryusza“, iż „z całej Polski czesi są może poznańczykom najbliżsi“. Bardzo przepraszam — ale gdybym był poznańczykiem, tobym się czuł obrażony tem zdaniem. Bo wielkopolanie są znani z uczciwości i są bardzo odważni — tego ostatniego dowiedli i w Wielkopolsce i pod Lwowem i w wojnie bolszewickiej. A czesi nie są ani uczciwi ani odważni — dowiedli tego przez cały ciąg swojej historii.

Wreszcie podkreśla „Merkuryusz“ ważność wspólnej granicy polsko - węgierskiej i przypuszcza, że uzyskanie jej byłoby możliwe w razie stanięcia teraz przez nas po stronie Czech. Przytem zaznacza, że nie byłoby to łatwym zadaniem.

W to nie wchodzę — natomiast chcę poruszyć inną sprawę, którą „Merkuryusz“ niejednokrotnie poruszał i którą uważa za wytyczną naszej polityk zagranicznej, to jest przymierza, a nawet unii z Węgrami. Pochlebiam sobie, że znam trochę nastroje panujące na Węgrzech, mam tam sporo znajomych, przyjaciół oraz kolegów z wojska austriackiego. Węgrzy o-

nie jaskrawych szczegółów miałyby skutki oplakane. Łączymy uścisk dłoni.

JWPan Stanisław B-wski (Hull) — Z pośród pism tego typu możemy wymienić „The Patriot“. Zeszyty wysłamy według nowego adresu.

JWPan W. — List w sprawie Juraty i kolejki na Górnym Śląsku nadaje się do szerokiego opracowania. Nadesłany materiał zachowamy. Dziękujemy za pamięć.

Studentowi ek. U.P. (Poznań) — Trudno odpowiedzieć na łamach MERKURYUSZA. Gdyby Szanowny Pan był w Warszawie, to prosimy nas odwiedzić. Powiemy krótko, że jest to kwestja taktyki. A że wyniki są dobre, wnoskujemy choćby z listu Szanownego Pana. Uwagi o charakterze obiektywnym silniej przemawiają do wyobraźni. Co do zagadnienia słowackiego, to przypuszczamy, że ostatnie nasze rozważania w „Dzieiach“ uzna Szanowny Pan za trafne. Dziękujemy za list. Prosimy przyjąć ukłony oraz pozdrowienia dla kolegów.

JWPan Antoni P. (Grodno) — Czy pozwoli Szanowny Pan porobić skrót? Mamy w zapasie mnóstwo listów, a miejsca mało. Za miłe słowa uznania serdecznie dziękujemy.

JWPani Krystyna M. (Siewierz) — Wszystkie artykuły i notatki redakcyjne piszemy według starej pisowni. Również i przekłady z języków obcych (w Przeglądzie Prasy). Natomiast listy Czytelników i wyjątki z innych pism polskich drukujemy zgodnie z pisownią autorów. Nie ma więc chaosu w MERKURYUSZU, jest jedna pisownia, której się trzymamy w ścisłym kółku, szanując pozatem cudze upodobania.

JWPan St. Kozłowski (Iganie) — List zamieszczamy w całości. Prosimy o porównanie z listem p. A. Igowskiego w tym zeszyście.

JWPan Igowski (Daugawpils, Łotwa) — Dziękujemy za list i za adresy. Nasi przyjaciele z Dynaburga otrzymują MERKURYUSZA stale. O skorowidzu pamiętamy. Prosimy przyjąć serdeczne pozdrowienia.



Graszki

JAK TO BYŁO?

Dzienniki z 15 maja zamieściły jednobrzmiącą depezę tej treści:

Rybacy w St. Nazaire musieli wrzucić do morza ponad 200.000 złowionych sardynek, gdyż fabryki konserw jeszcze nie rozpoczęły pracy po strajku.

A stołeczny „Robotnik“ odrąbał na samym końcu dwa słówka i wyszło naodwrot:

Kapitalistyczna gospodarka.

Rybacy w St. Nazaire we Francji musieli wrzucić do morza ponad 200.000 złowionych sardynek, gdyż fabryki konserw jeszcze nie rozpoczęły pracy.

Figlarze siedzą w „Robotniku“.

SPÓLNOTA INTERESÓW

„Goniec Warszawski“ z 29 maja o szczęśliwej wygranej na loterji:

Panie L. Sałkind i Katarzyna Podzelwer grały do spółki na jedną pitkę.

No to teraz śmiało mogą przejść od pitki do wybitki

WYDAWCY I REDAKTORZY: JULJAN BABIŃSKI I WŁADYSŁAW ZAMBRZYCKI

ZESZYT NINEJSZY OPRACOWALI: Julian Babiński (J. B.), Jerzy Braun (Br.), Czesław Jastrzębiec-Kozłowski (c. j. k.), Władysław Zambrzycki (Z.) Podpis odnosi się do wszystkich poprzednich tekstów nie podpisanych

PRENUMERATA: ·mies. 1 zł. 50 gr., kwart. 4 zł. 20 gr., półroc. 7 zł. 26 gr. Zagr. mies. 2 zł. 40 gr., kwart. 6 zł. 40 gr., półroc. 12 zł.

OGŁOSZENIA: za miejsce wysokości 1 mm. przez jedną szpaltę za tekstem 60 gr. w tekście 90 gr. (Wszystkie kolumny są dwuszpaltowe). Na kolumnę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 27 m 6. Telefon 664.75. Konto P. K. O. 28.388
ODDZIAŁ W POZNANIU: Fredry 3, tel. 51.32.

Przyjęcia Administracji i Redakcji od 9—3 pp. Redaktorzy przyjmują po uprzednim telefon. porozumieniu.

Zakł. Graf. „DZWIGNIA“, Warszawa, Widok 24, tel. 665-39.